

19
18
17
16
15
14
13
12
11
10
9
8
7
6
5
4
3
2
1
0

Prawda i fałsz.
Powieść.

192432

Wolny przekład z niemieckiego.

Tit. N.
146

Próżność ukarana.

Drama w jednym akcie.



Leszno.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera.

1861.

11
10
9
8
7
6
5
4
3
2
1
0

BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



1
228739



00
00

0000000000

Handwritten text, possibly bleed-through from the reverse side of the page. The text is faint and difficult to decipher but appears to include words like "Lithography" and "No. 1000".

1812

BIBLIOTEKA

DLA

DOROSTAJĄCY MIĘDZYNARODOWY



Przedstawicielstwo w Warszawie
ul. Miodowa 10. Tel. 1000.

WARSZAWA

Wydawnictwo i drukarnia J. J. J. J. J.

1900

Handwritten signature or initials

BIBLIOTEKA
DLA
DORASTAJĄCÉJ MŁODZIEŻY.

TOM PIERWSZY.

Prawda i fałsz. Powieść.

Próżność ukarana. Drama w jednym akcie.

LESZNO.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera.

1861.

a
Günthera



a

3

5

a



Gregor sculp.

gr. druck E. Günther's.

B.p.I.T.T.

Prawda i fałsz.

Powieść.

Wolny przekład z niemieckiego.

*Tit. N.
146*

Próżność ukarana.

Drama w jednym akcie.



Leszno.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera.

1861.

Prawda i fałsz

Powiesć

I 67322

Wolny przewład z rękopiśmiennej

Tit. N. 186

Próchność i zdrowie



Wydawnictwo

Próchność

Wydawnictwo i drukarnia

1861

950 359

Od Wydawcy.

Nie masz zapewne nikogo z ludzi myślących, któryby zaprzeczył téj prawdzie, że wychowanie podrastającej młodzieży jest najważniejszą sprawą nie tylko pojedynczych Rodziców, ale zarazem najważniejszą sprawą pojedynczych narodów, całej wreszcie społeczności ludzkiej. Od niego zawisła przyszłość nie tylko każdej pojedynczej jednostki w towarzystwie ludzkim, ale zarazem przyszłość całych pokoleń. Stąd to widzimy, że w narodach oświatą celujących coraz więcej na ten przedmiot zwracają ludzie uczeni, myśliciele, prawdziwi filantropi, swoją uwagę; — stąd od lat kilkudziesięciu

widzimy, mnóstwo książek w Anglii, Francyi, Niemczech wydawanych, które za cel mają dzieci i młodzież. Wzbudzić bowiem w tych młodych umysłach chęć do czytania dziełek takich, któreby wiekowi były właściwe, a podnosiły uczucie religijne, rozjaśniały pojęcie, — jest to sprowadzić umysły te młode na drogę, na której postępując, ostatecznie muszą dojść do celu, u którego prawdziwe znachodzi się szczęście człowieka. Boć wszystko jest znikome, wszystko człowiek utracić może, — ale skarbu tego, który leży w fundamencie religii i wykształcenia umysłowego, nikt nikomu odebrać nie zdoła. Kto ten skarb posiada, ten, jeżeli go Opatrzność innemi jeszcze świata tego obsypała darami, będzie umiał z nich korzystać dla dobra swego i swych bliźnich; — jeżeli mu ich odmówiła, potrafi je sobie wyrobić, — a w ostatecznym razie i bez nich, zgadzając się z wolą wyższą, Bożą, szczęśliwym się jeszcze czuć będzie.

Pożyteczność zatem takich dziełek niezaprzeczona; — pojawienie się ich w narodzie polskim, zawsze z największą radością ze stro-

III

ny Rodziców i dzieci powitane zostawało. — Wspomnijmy tu tylko na dziełka w tym duchu pisane przez panią Hoffmanową (Tańską); wspomnijmy na bajki Jachowicza. Czuł naród dobrze wartość tego męża, który w swoich bajeczkach dźwiatwę tylko miał na oku, który przez bajeczki pamięć swą w narodzie unieśmiertelnił, a wdzięczność i cześć naroda otaczała go za życia i przy grobie!

Chcąc się w tym kierunku przysłużyć Narodowi polskiemu, pomni, jak niegdyś wydawnictwo naszego „Przyjaciela Ludu“ przyjeżtem zostało, postanowiliśmy z rokiem 1861 wydać nakładem naszym „Bibliotekę dla dorastającej młodzieży“.

Plan przedsięwzięcia naszego następny:

Całe wydawnictwo składać się będzie z czterech seryi.

W pierwszej seryi wydawać będziemy *powieści czysto treści obyczajowej*.

W drugiej zamknięte będą *podróże przedsięwzięte po całej kuli ziemskiej*.

W trzeciej powieści obyczajowe na tle historycznym, z historyi wszystkich narodów wyjęte.

W czwartej żywoty ludzi znakomitych wszystkich narodów.

Do powieści dołączać będziemy niekiedy *dramaciki*, w tymże samym duchu napisane.

Do każdej powieści przydany będzie *obrazek* odpowiedni, ażeby i w ten sposób podnieść interes czytającej młodzieży; w tym celu Drukarnia nakładowa postarała się o wykonanie takowych obrazków w formie artystycznej jak najlepszej.

Całe wydawnictwo *Biblioteki* opierać się będzie w początkach na wolnych przekładach dziełek uznanych w obcych literaturach za najlepsze; później, jeżeli przedsięwzięcie nasze uznane i przyjęte będzie, tak jak się przez wzgląd na nasze dobre chęci spodziewać nam należy, postaramy się o *powieści oryginalne*. W każdym roku najmniej 8 tomików wychodzić będzie.

Ograniczamy się na tych krótkich zarysach tego w naszym przekonaniu w skutkach swo-

ich ważnego przedsięwzięcia, i wysyłamy
w świat polski w dobrej woli i w dobrej
wierze pierwszy tomik *Biblioteki*.

Leszno, w Styczniu r. 1861.

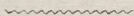
Drukarnia nakładowa
Ernesta Günthera.



Wydawnictwo Biblioteczne
Księgarnia Biblioteczna
Warszawa, 1901

Przekład z niemieckiego
J. M. S.

Prawda i fałsz.



Powieść.



Pravda i falsh.

Pravda i falsh.

Prawda i fałsz.

Powieść.

Rozdział pierwszy.

Przyjęcie.

„Spójrz, Albinie!“ mówiła pani Frimont do swego jedenastoletniego synka — „jako tu pięknie będziesz mieszkał!“

Mały, żując bułeczkę, wyglądał z pojazdu. Droga właśnie kręciła się około krańca lasu.

Wśród wielkiego pięknego ogrodu wznosił się pyszny zamek z ciosanego marmuru. Dachy błyszcząły jak złoto w promieniach wschodzącego słońca, a wysokie przezroczyście okna świeciły jak srebro. Wysmukłe, ozdobne wieże, ze wszystkich czterech stron sięgały nieba; a po jego lazurowym błękitcie gdzieś gdzie tylko białe przesuwwały się chmurki. Wkrótce zatrzymał się pojazd przy szeroko otwartej bramie ogrodowej, przed którą dwóch brodatych grenadyerów się przechadzało.

Pani Frimont i jej syn wysiedli, a pojazd wrócił do oberży. Można było bez pytania wniknąć do ogrodu; szeroka prosta droga wiodła do zamku.

„Nim cię twemu stryjowi przedstawić będę mogła, mamy jeszcze całą godzinę czasu“, mówiła pani Frimont, rzuciwszy okiem na wielki zamkowy zegar; „użyjmy téj chwili do obéjrzenia przyszłego twego miejsca pobytu.“ To powiedziawszy, zwróciła swe kroki ku bardzo wielkiej sadzawce, z której środka wytryskał grubszy jak ręka i wyższy jak dom promień wody, — wzbijał się on szumiąc i spadał pluszcząc i łamiąc się na tysiączne błyszczące części. A po czystych wodach pływały, jak okręty z rozpiętymi żaglami, świetnej białości łabędzie; skrzydła miały cokolwiek uniesione i długą szyję uroczo zagiętą. Około nich pluskały wesoło niezliczone złote i srebrne rybki, — — nie wiedzieć już, czemu było się przypatrywać!

„O Mamo! Mamo!“ zawołał Albin drżącym od radości głosem, z czułością rękę jój całując, — jak tu pięknie; ach, jak tu precudnie!“

„Nieprawdaż? — odpowiedziała Matka wzruszona, — jak tu szczęśliwym będziesz! — jedyna téż to moja osłoda, kiedy już się z tobą rozłączyć muszę.“ Prawie z przymusem prowadziła go do oglądania nowych piękności. Na wysokiej podstawie stał ślepy Belizar otoczony kwitnącemi różami; jego małeńki przewodnik miał tak wzruszającą postać, tak wdzięcznie prosił przechodnia o dar jaki, podając mu hełm sędziwego wojaka, że Albin chętnie byłby mu połowę swój nagryzionej bułeczki wrzucił.

Nieomal byłby niepostrzegł dla téj grupy niezliczonych kwiatów, wzierających z zielonego kobierca. — Tu, w gęstwinie, w pustelniczój chatce, korą drzewa powleczonej, dzwonił, gdy sprężynę poruszono, w srebrny dzwoneczek wiszący na wieżyczce, pustelnik z drzewa doskonale wytoczony. Tam wyglądały białe kolumny z pośród wijących się roślin. Owdzie otwie-

rała się chłodna grotą, wewnątrz muszlami i świecącymi kryształami wykładana; wabiące ustronie przed upałem słonecznym.

Nagle Albin przestraszył się, — pod krzakami ujrzał lwa ogromnego w skoku. Zapewnienia Matki, że to tylko z brązu naśladowany, ośmieliły go; przystąpił do potwora i paszczy jego się dotknął. — Szemrzące strumyki z ślicznymi mostami, rozkoszne budowle, altany, szpalery, posągi, trawniki, zmieniały bogatą już z natury rozmaitość. Owoce wszelkich gatunków, figi, cytryny, brzoskwinie, pomarańcze, wiśnie, jabłka, gruszki, winogrona, orzechy, migdały, ananasy, poziomki, melony, dojrzewały za oknami długiej cieplarni, na zagonach, w donicach, na szpalerach, i na pninach wysokich. — Białe i kolorowe pawie, indyki, rozdziwiałały z powagą pyszne swe ogony. Perlice, złotosrebrne bażanty, długonogie bociany, żurawie, dzikie kaczki, gęsi i inne ptaki goniły się, a były tak łaskawe, że śmiało chleb z ręki jadły. — Toż była jeszcze nigdy niedoznana uciecha dla Albina!

Jakże szybko ta godzina dla niego upłynęła! Niechętnie też szedł Albin za Matką, gdy do zamku dążyła; a ona im bardziej się do niego zbliżała, tym była niespokojniejsza. Nie bez trwogi pytała bogato ubranych, przy szerokich marmurowych schodach stojących służących, o swego szwagra szambelana Frimont. Z unizonością prowadził ją lokaj do pokoi Szambelana. Albin miał czas przepych wysokich komnat podziwiać, przechodząc przez długich szereg.

„Co ty robisz?“ zapytała wystraszona Matka, gdy nagle upadł jak długi.

„Ja, ja, jękał, podnosząc się błądy z przełknięcia, — pośliznąłem się; doprawdy, nie jestem wcale temu winien.“

Rzeczywiście było to sztuką niezwykajnemu, utrzymać się na błyszczącej jak szkło posadzce. Służący prosił Matki Albina, aby się zatrzymała cokolwiek, otworzył podwoje pokoju, z którego wkrótce szambelan Frimont wyszedł.

„Oto, mówiła pani Frimont po powitaniu wzajemnym, — przywożę ci mego jedyne go syna. Z pewnością Matce z trudnością przychodzi, rozłączać się z ukochanym dzieckiem, — lecz wiedząc, iż pod twoją opieką“ —

„Nie troszcz się siostrze“ — przerwał Szambelan, „ono lepiej nie może być umieszczone, to prawdziwe dziecisko szczęścia, — miliony rówieśników zazdrościć mu będą. Albin będzie towarzyszem zabawy, najpoufniejszym przyjacielem przyszłego władcy, będzie mógł mówić *ty* przysłemu królowi 20 milionów ludzi. Najwyższych może osiągnąć zaszczytów, jeżeli potrafi Następcy tronu stać się niezbędnym. Jego szczęście nie da się opisać.“

„Słyszysz?“ rzekła pani Frimont z rozjaśnionym obliczem do swego syna, — „bądźże więc bardzo dobremu stryjowi wdzięcznym, jego to wstawieniu to wszystko jesteś winien.“

Na znak Matki, Albin ucałował rękę stryja, który sięgnął za haftowany sznur od dzwonka i silnie go pociągnął.

„Przynieść śniadanie na trzy osoby“, rozkazał wchodzącemu słudze; ten spiesznie rozkaz wypełnił. — Takiego mnóstwa potraw i napojów, które przyniesiono, niewiedział Albin nigdy przy żadnym obiedzie, a tém mniej przy śniadaniu. Żałował tajemnie, że zjadł swoją bułeczkę, bo się prawie nią nasycił. Jednak brał sobie na talerz. Stryjaszek się uśmiechał, gdy spostrzegł apetyt bratunka i rzekł do niego: — „tak dobrze, a nawet wiele lepiej będziesz miał codzień!“ Lecz ko-

chaną bratową, muszę jeszcze Nadochmistrzowi przedstawić. Zapewne chętnie zechce z nią zrobić znajomość. — To z resztą może tylko na korzyść Albina wypaść, jeżeli dobre o tobie powezmie mniemanie, o czém bynajmniej nie wątpię.

Dla dobra swego syna pani Frimont do wszystkiego dała się nakłonić. Udała się do Pułkownika, Nadochmistrza Księcia, który, jak to sam wyznał, cieszył się z jej poznania. Powierzchność Albina podobała mu się, z dobrocią go też po twarzy pogłaskała.

„To samo zdrowie“, — mówił uśmiechając się, „w takim ciele zdrowa tylko dusza mieszkać musi.“ — Obracając się zaś do małego chłopca, rzekł: „przedewszystkiēm staraj się miłość księcia Oskara pozyskać. Od tego twoje szczęście zależy.“ — „Syn Pani“, mówił dalej do pani Frimont, „tak samo będzie utrzymywany jak Książę, z nim sypiać będzie, z nim razem odbierać wykształcenie, z nim dzielić zabawy, zgoła wszystko.“ — „Janie!“ zawołał na oczekującego sługę, — „prosić Jego królewiczowską Mość, aby raczył tu przybyć.“

Sługący zniknął, po chwili ukazał się w towarzystwie młodego chłopca dosyć słabowitego, bladego, który zdawał się być w jednym wieku z Albinem. Ubiór jego, jakkolwiek z pięknej materji i wykwintnie zrobiony, był obłocony.

„Cóż tam znowu?!“ zawołał on z niechęcią. „Po cóż mi Pan zabawy przerywasz?“

„Książę!“ odpowiedział z surową miną Pułkownik — „czy to tak wchodzić powinieneś? — Czy nie znasz praw towarzyskich?“

Książę skłonił się lekko przytomnym, odwrócił się do kamerdynera, mówiąc: „Powiedzże Baptyście, że zaraz powrócę.“

„Książę!“ — zagadnął powtórnie Pułkownik, — „mam zaszczyt przedstawić ci panią Frimont i jej syna. Pan Albin Frimont będzie odtąd jego przyjacielem i nieodstępny towarzyszem.“

Pani Frimont nisko się skłoniwszy, zbliżyła się do młodego Księcia i z uszanowaniem rękę jego ucałowała. Albin z podziwieniem spoglądał to na Matkę, to na Księcia.

Pułkownik uśmiechnął się i rzekł: „chodźmy cokolwiek na ustęp, — pozwólmy młodym kawalerom bliżej się poznać.“

Pan i pani Frimont byli temu wezwaniu posłusznymi, a książę Oskar, zmierzwszy od stóp do głowy Albina, rzekł do niego: „Więc to ty masz być moim kozłem ofiarnym?“

Albinowi się zdawało, że źle rozumiał. — Lecz z dumą odrzekł: „Nie jestem kozłem, ja ani cuchnę, ani bodzę.“

„No“, odpowiedział Książę, cokolwiek zmieszany Albina odpowiedzią, — „ja chciałem mówić, że ty będziesz musiał znosić wszystko złe za mnie.“

„Nie będę musiał, bo jestem szlachcicem“; — odparł porywczo Albin.

„Więc i tak dobrze, doskonale“, mówił Książę już cokolwiek bojaźliwiej, — „ale przecież umiesz żaby kijem do góry podrzucić?“

„Nie“, rzekł Albin, — podrzucić żaby? — do góry? — to musi sprawiać ból tym biednym zwierzętom.“

„Chodź ze mną Albinie, mówił Książę poufnie. — „Ja ci pokażę, jak się to robi.“

„A ja muszę wprzód Mamy o pozwolenie prosić“, — rzekł Albin i chciał iść ku niej, — lecz Pułkownik przyzwolił znakiem i obrócił się ku pani Frimont. —

Pozwól mu Pani, bo tu konieczną potrzeba, aby jój syn zaraz nauczył się stósować do woli Księcia.“

„Toż mnie pan Pułkownik pozwól także, pożegnać się z mym synem, albowiem punkt o 12stej wyjeżdżać muszę.“

Z macierzyńską serdecznością ścisła swego syna, dobrych mu napomnień udzielając, — pożegnała Księcia i Pułkownika, i opuściła komnatę w towarzystwie swego szwagra.

Albin zaś w ciężkim pogrążony smutku szedł za Księciem, który wbiegał z hałasem do ogrodu.

Rozdział drugi.

Koziół ofiarny.

Cały tydzień dzieciom pozwolono robić, co im się podobało. — Stell, ochmistrz Księcia, uważał tylko, aby sobie jakiej szkody nie zrobiły, bo i po ogrodzie biegały i w rozmaite zabawy się bawiły. Podczas tychże zaprzyjaźniał się książę Oskar z Albinem, który bynajmniej na los swój nie miał przyczyny się uskarżać, przeciwnie był z niego bardzo zadowolniony. Wreszcie Pułkownik oznajmił dzieciom, że już czas, aby zabawy ustąpiły miejsca pracy. Jak to zaś miało nastąpić, z boleścią dowiedział się Albin.

W poniedziałek ujęty jeszcze snem głębokim leżał w łóżeczku obok łóżeczka Księcia, gdy uczuł wstrząśnienie i usłyszał surowy męski głos: „Wstań Albinie! czas już się udać do pracy!“ toż samo z Księciem się stało.

„Do pracy?“ szeptał do siebie zadziwiony Albin na pół śpiący. — „Księżę, — przyszedł król, — ma pracować?“ — Przyzwyczajony jednak do rychłego wstawania, wyskoczył z łóżeczka i zaczął się ubierać.

Księżę zaś nie tak się spieszył, spał, lub udawał śpiącego.

„Księżę Oskarże!“ wołał Ochmistrz, „słuchajże Księżę, masztalerz czeka już w ujeżdżalni. Będzieszże Księżę posłusznym?“

Do tego wcale Księżę niepokazywał ochoty. — Gdy jednak widział, że udawanie na nic mu się nieprzydaje, — tylko coraz mocniejsze wstrząsanie jego ciałem wywołuje, powstał gwałtownie i rozkazująco zawołał: „Daj mi natychmiast pokój, Stell; rozkazuje ci, pod utratą mojej łaski!“

„Księżę, Księżę!“ ostrzegał Ochmistrz, „rozmyśl Księżę, kogo masz przed sobą. — Nie wstydzisz się twego przyjaciela Albina? — czy mu źle życzysz? — mamże przywołać pana Pułkownika?“

„A wołaj sobie kogo chcesz“, — zawołał rozgniewany Księżę, — „jestem jeszcze śpiący, chcę więc jeszcze spoczywać.“

„Panie Frimont“, rzekł Ochmistrz do Albina, — „staraj się Pan, przez wzgląd na siebie samego, Księcia do wstania zniewolić.“

„Bynajmniej nie fatyguj się“, — rzekł tenże do swego towarzysza; „połóż się, ty też zapewne zmęczony jesteś. Wczoraj późnośmy jeszcze biegali.“

Stell wyszedł i wrócił niezadługo z Pułkownikiem.

„Będzieszże Księżę posłuszny natychmiast?“ — mówił ostatni.

Księżę się nie ruszał.

„Ostatni raz pytam cię, Księżę, czy chcesz być posłusznym?“

Oskar chrapał głośno.

„Więc dobrze“, rzekł spokojnie Pułkownik, „zostaniesz Księżę do południa w łóżku.“

Księżę, usłyszawszy ten wyrok, w okamgnieniu wyskoczył z łóżka i wołał na kamerdynera: — „Ubieraj mnie, — ja tego chcę, natychmiast.“

„A ja chcę, — odparł Pułkownik, abys za karę swego nieposłuszeństwa w łóżku został do południa.“ W téjże chwili wyciągnął ręce ku Księciu, jak gdyby go chciał gwałtem w łóżku przytrzymać.

„Nie ruszaj mnie Pan!“ zakrzyknął Księżę zuchwale; — „jestem Następcą tronu. Niepowinien mi Pan żadnego zadawać gwałtu. Nie wieszcie Pan o tém?“

„Doprawdy?“ mówił oziębłe Pułkownik, — „więc to pierwszy dowód przyjaźni, który twemu towarzysowi wyświadczasz.“ „Panie Frimont!“ rzekł do Albina, który całej téj scenie z niemém podziwieniem się przypatrywał. „Pan musisz natychmiast się położyć i w łóżku do południa zostać!“

„Ja!“ — zawołał tenże wystraszony, — „ja już wcale nie jestem śpiący i przyzwyczajony zawsze do rychłego wstawania!“

„Wierzę temu!“ odpowiedział Pułkownik, „żał mi ciebie, dobry chłopcze; lecz cóż robić, jesteś Księcia kozłem ofiarnym.“

„Kozłem ofiarnym?“ — mówił półgłosem Albin, „to więc muszę, tak mówiąc, zjeść to, co księżę Oskar nadrobił.“

„Tak jest“, przywodził Pułkownik.

Wtedy płacząc, lecz milcząc, rozebrał się biedny chłopiec, położył i twarzyczkę zalaną łzami ukrył pod kołderkę.

Księżę Oskar rzucił wzrok, w którym krnąbrność i żal się łączyły na swego kolegę, — lecz nie rzekł ani słowa.

„Chodź Książę“, mówił Pułkownik do niego, „godzina jeżdżenia już się rozpoczyna.“

A gdy się Książę jeszcze ościagał, Pułkownik przyniósł wielką różgę, mówiąc: — „Chcesz Książę więcej jeszcze przykrości swemu przyjacielowi robić?“

Dopiero Książę usłuchał i poszedł.

Albinowi się okropnie w łóżku dłużyło. Niewolno mu było nawet czytać, aby się nie nudził. Miano go uważać za śpiącego, z téj téż przyczyny i śniadania nie dostał. — Szczęściem, że kamerdyner dał mu ukradkiem bułeczkę, inaczéj byłby mu głód bardzo dokuczył. Po dwu godzinach wrócił książę Oskar.

„Czy nie może już mój dobry Albin wstać“, — mówił przymilając się do Ochmistrza.

Ten wzдрыgnął ramionami i odpowiedział: „Słyszałeś Książę rozkaz Pułkownika.“

„Zrób mi tę przyjemność.“ — Prosił chłopczyk usilnie.

„Nie mogę.“ — Odparł Stell.

„Biedny przyjacielu“, — mówił Oskar do Albina, głaskając go po twarzy, — przebacz mi, — ja już nigdy tego nie zrobię.“

„To ładnie.“ — Pochwalił Ochmistrz.

A Albin się odezwał: „Raz to jeszcze ujdzie, choć mi to bardzo gorzko przychodzi, ale częściej w tém więzieniu siedzieć — niechcę, — wołałbym uciec.“

„O tego nie zrobisz, — jabym bardzo na tém ucierpiał, — mówił Książę. — Jakżeby mi się nudną zdawała lekcyja kalligrafii, a lekcyja rachunków!“ —

„Chodź, chodź Książę!“ — nalegał Stell. — „Ja nie mam nawet Księciu pozwolić rozmawiać ze śpiochem“, — i prawie przymusił go do wyjścia.

Albin zaś niemał wcale ochoty dzisiaj mienić swego losu tak zazdrości godnym, jak mu to stryj jego wystawiał.

Rozdział trzeci.

Nowe u róż kolce.

Następne dni minęły wśród rozmaitych zatrudnień. Albin poznał, że i królewski syn uczyć się jest obowiązany, a nawet więcéj jak inne dziecko. Bo ten, kogo Bóg na czele narodu postawił, powinien być najwykształceńszy i najrozsądniejszy! Z téj więc przyczyny, co jeden professor wyszedł, wchodził drugi. Uczyły się chłopczyki trzech, czterech języków, tańczyć, jeździć, krzyżowój sztuki, pisać, rachować, rysować, muzyki, jeografii, historyi naturalnej, i wiele innych wiadomości nabywać musieli. Mało można było godzin na zabawy poświęcać. Albin wszystko z Oskarem podzielał, a nawet był przymuszony Księcia wyprzedzać, by go do pilności pobudzał.

Jednego poranku życzył sobie Księżę z Albinem konno wyjechać. Kamerdyner ubrał go, jak ubierają malenkie dzieci. Wtém Księżę zaczął go łajać: „Czemuż nie dałeś mi munduru huzarów, jakem ci to wczoraj przykazał?“ I pac!! — uderzył kamerdynera tak silnie w twarz, że łzy mu stanęły w oczach; błagał o przebaczenie Księcia, że zapomniał zlecenia wypełnić, na policzek nic się nie skarżył. Ale Ochmistrz wszystko słyszał, sprowadził więc Pułkownika.

„Księżę uderzył poczciwego Jana?“ burczał, — „zapomniałeś Księżę, że nie wolno ci w żadnym przypadku bić kogokolwiek? To nieposłuszeństwo zasługuje na najostrzejsze napomnienie!“

I pac!! — niewinny Albin dostał taki policzek od

Pułkownika, że ogłuchł i zaniewidział na moment. Albin zmartwił. Napróżno Księżę obsypywał go najpochlebniejszymi słowami. Albin był niepokieszony. Ze łzami skarżył się na doznaną krzywdę przed swoim stryjem; — nie myślał on się ujmować za nim, — przeciwnie śmiał się z jego cierpień.

„To drobnostki“, — mówił, — „sto tysięcy ludzi miejsca tego ci zazdrości, chętnieby kułaki, bicie i bóle znosili, żeby cię zastąpić mogli. Bądź rozsądny, doprowadź Księcia do tego, aby z przyjaźni dla ciebie wszystkich się niegrzeczności odzwyczaił. Dla tego tu tylko jesteś, stósuj więc do tego twoje branie się. Ja ci nic ulżyć nie mogę.“

Nie wielkie to było uspokojenie. Lecz z czasem Albin już nawet niekiedy przywodził Księcia prośbami i namowami do posłuszeństwa rozkazom przełożonych, lecz nie zawsze mu się to udawało. Wtenczas musiał ponosić kary cielesne, bo niegodziło się Księciu ich odbierać. Tak przeszło kilka miesięcy. Już prawie Albin nauczył się stósować do wszystkiego. Gdy Księżę nowego mu nader niemiłego figla wyplatał.

Jednej nocy Albin spał spokojnie; gdy ból gwałtowny zębów przebudził Księcia, który zaczął na całe gardło krzyżeć: „Albinie, ach, ach, Albinie! — ach! co téż to jest, — omdlewam z bólu!“

Kilka minut upłynęło, nim się Albin roztrzeźwił.

„Dajże mi pokój“, rzecze rozespany, — „ja przecie nic niewiem, — ja ci téż nic nie pomogę.“

„Musisz“, krzyżał Księżę, — „musisz wszystkie moje dolegliwości znosić, — musisz mię od bólu uwolnić!“

Tymczasem Stell wyskoczył z łózka, pobiegł do Księcia i zapytał przelekniony: — „Co tobie jest, mój Księżę?“

Oskar schwycił się za twarz krzycząc: „Tu mnie boli! — zmiłujcie się — zmiłujcie!”

„Uspokój się Książę, to ból zębów. Każę natychmiast nadwornego lekarza przywołać. Zachowaj się przez ten czas spokojnie, niebudź dobrego Albina, bo on ci na to nic nie pomoże.“

Były to słowa na wiatr powiedziane.

„Nie!“ zakrzyknął Oskar gwałtownie, — „ja nie mogę spać, niechże on téż nieśpi. Mnie jest okropnie, jak on tak smacznie śpi, a ja z bólu od zmysłów odchodzę. — Albinie! — Albinie! — przebudź się!“

„Ach jakiś ty nieznośny“, — skarżył się Albin; — „po co mnie budzisz, — ja ci i tak nic nie pomogę.“

Przywołany nadworny lekarz kazał Księciu usta otworzyć szeroko, Stellowi i Janowi poświęcić.

„Aha!“ rzekł po przypatrzeniu się, — ten ząb jest spróchniały i musi być wyjęty. W ten moment będzie Książę od bólów uwolniony.“

Wyjął z teczki mały instrumentek i zapuszczał się włożyć go Księciu w usta.

„Nie, nie!“ krzyknął Oskar, zasłaniając rękoma usta, „ja siebie nie pozwolę dotknąć, — jestem Następcą tronu, — Albin musi za mnie ból wytrzymać. Jemu ząb wyrwijcie!“

„Jaki znów kaprys!“ zawołał rozgniewany Ochmistrz.

— „Tu nic nie pomoże zastępstwo, ani ociąganie się. Chcesz się Książę bólu pozbyć, bądź spokojny i pozwól lekarzowi działać.“

„Ale to pewnie bardzo boli, jak ząb wyrrywają?“ mówił już Oskar bojaźliwiej.

„Bynajmniej!“ zapewniał lekarz. „Jego Książęcój Mości zęby nie mają jeszcze korzeni, — pociągnie się i koniec.“

Tego nigdy nieuwierzę!“ zawołał Oskar. — „Chcesz

mnie Pan oszukać. Poprobuje na Albinie. Zobaczę, jeśli prawdę powiedzialesi!"

Lekarz przystąpił do Albina, poszepnął mu kilka słów do ucha. Ten chętnie usta otworzył, a Jan świecił, — lekarz zbliżył instrument do zębów Albina. Ale Książę lękał się podejścia, zawołał więc: „Ja się nie dam oszukać. Ząb musi doprawdy być wyjęty — tak, abym mógł go dotknąć palcami.“

„Więc i tak dobrze!“ odrzekł lekarz, i znowu szeptał do Albina. Znowu instrument włożył w jego usta.

„Aj! ach!“ — nagle zakrzyknął Albin, — „ach Pan mnie okła — —“; krew tryskająca z dziąseł niepozwoliła mu dokończyć słowa. Musiał prędko ją wypluć. — Podczas tego mówił lekarz: „Bądź konwent kochany chłopcze! I ten ząb był wypróchniały i byłby cię później najokropniejszych bólów nabawił. Łyk wody z octem zmieszanej i wszystko będzie dobrze.“

„Bardzo to bolało?“ pytał bojaźliwie Książę.

„Wcale nie!“ odparł Albin, uśmiechając się z za łez.

„Nie powiedziałem?“ zawołał lekarz — „a więc szybko, nabierz Książę odwagi!“

Nim się jednak Książę namyślił, — lekarz założył za ząb i wyjął. Poczém spokojność była przywrócona i Albin mógł sobie dłużej odpoczywać.

Inną razą Książę zachorował ze zbytku jadła. Koniecznie nalegał, aby dla niego przepisane lekarstwo Albin wprzód zażył. W takich razach niechciał zważać na żadne przedstawienia, tylko ciągle bił w swoje wysokie stanowisko. Takie wychowanie najgorszy wpływ mogło na charakter Albina wyrzeć. Był w niebezpieczeństwie stania się zuchwałym, fałszywym, kłótlwym, pochlebcą, — słowem, — złym człowiekiem.

Rozdział czwarty.

Różyczka.

Najpiękniejsze miejsce spoczynku w całym królewskim ogrodzie było siedzenie na przeciw wodospadu. Z nad sztucznie ułożonych skał, których wierzchołek rozłożystemi drzewami i krzakami był zasłonięty, rzucał się potok szumiąc i pieniając w obszerną sadzawkę. W niej znajdowało się mnóstwo marmurowych delfinów, bożków morskich, nimf, które spadającą wodę chwytwały i napowrót wyrzucały. Ztąd tworzący się drobniuteńki deszczyk mienił się kolorami tęczy za ukazaniem się słońca. Bluszcz i inne wijące się rośliny, wodne lilie, paproć, zieleniły się pomiędzy głazami, przyozdobionymi jeszcze morskimi muszlami i błyszczącymi kryształami. Tam, gdzie huczące fale w łagodny się szmer zamieniały i miły chłód sprawiały, stała ławeczka miękkim suchym mchem wysłana. Tu siedział raz podczas pogodnego poranku Albin i gorzko płakał. Cały urok, na jaki natura i sztuka w rozrzutności swojej się wysadziły, zniknął w jego oczach; nietknięty stał obok niego talerz z konfiturami, dymiąca z filiżanki czekolada. We łzach tonący oczy miał zwrócone na swoje spuchłe ręce, krwawymi strugami oszpecone. Nareszcie niema jego boleść w głośne skargi wybuchała.

„O nędzni, niesprawiedliwi ludzie!“ zawołał — „niewinnego karzecie, a występnego puszczacie. I dla czego?? — Bo on Księciem, a jego ojciec Królem. Czy on to lepszy odemnie? — Nędzny, niegodny Oska-

rze! — Nie, nie myślę dłużej być twoim kozłem ofiarnym. Wolę sto razy jeść chleb suchy, pić czystą wodę. Co mnie po kosztownych potrawach i winie, gdy je w żalu i we łzach mam pożywać. — Najlepsze pożywienie obraca się w truciznę. — Do Mamy pójdę. — Tu mnie nikt nie kocha; ani mój stryj, który tylko memu zmartwieniu urąga. Gdyby tu jeszcze był ojciec Oskara! — Powiedziałbym mu, jaka to sztuczka ten jego synek. — On to podobno dobry, — ale, kto wie, kiedy z wojny powróci?“ W téj chwili uczuł lekkie na rękę pocałowanie i gorąca na nią łza spłynęła.

„Ruszaj sobie, — przebrzydły Oskarze!“ — zawołał, gniewnie usuwając rękę; — „ach to ty, Rózycko!“ mówił łagodniej, gdy spostrzegł przed sobą klęczącą ośmioletnią dziewczynkę. Trzymała ona w jednej ręczce świeży bukiet, w drugiej liść winny, pełen czerwonych woniejących poziomek.

„Panie Albinie!“ mówiła żałośnie — nie prawdaż, że ręce Pana tak za mnie zbite?“

„Nie, moja droga!“ — „nie za ciebie, za Oskara, że ciebie do sadzawki popchnął.“

„Z której mnie Pan wyniósł, jak mi to mój przybrany Ojciec opowiadał, — a na podziękowanie tak Pana niemiłosiernie zbite. O! to mnie bardzo przykro.“

„Daj temu pokój, już to taki mój los; jestem, jak pewnie wiesz, Księcia kozłem ofiarnym. Ale“, — zawołał porywczo, — „dłużej nim nie będę! Wprzód jednak zemszczę się na Księciu, a potem — potem ucieknę.“

„Mój przybrany Ojciec“, — bojaźliwie jąkała Rózycka, — „mówi zawsze: lepiej doznawać niesprawiedliwości, jak ją komu wyrządzać.“

„Tak, ale ty nie wiesz wcale, ile dokuczają takie obchodzenie się.“

„Już to, to prawda, i mnie nie było miło tak wpaść w wodę niespodzianie; o mało się też nie utopiłam.“

„Nieszkodziła ci ta zimna kąpiel? — Dziwię się, że już jesteś na nogach.“

„Mój przybrany Ojciec sądzi, że gdybym tak była rozpieszczona jak Księżę, mógłby mnie być ruszyć paraliż; — ale ja się co dzień myję zimną wodą, to już prawie do niej jestem przyzwyczajona.“

„A cóż na tę historią twój przybrany Ojciec powiedział?“

„On mówił: że księżę Oskar bardzo jest nieszczęśliwy chłopiec, więcej pożałowania, jak nienawiści godzien; że przewrotne wychowanie przyczynia się do jego nieszczęścia, że najuboższe dziecko jest od niego szczęśliwsze.“

„No, to już się na nim mścić nie będę. Ale ucieknę!“

„A to dokąd?“

„Do mojej Mamy; — ona taka dla mnie dobra, u niej lepiej miałem i mieć będę jak tu.“

„Ale ja myślę, że Mama tu Pana oddała? Toć musi być jej wola, abyś tu został.“

„Hm, hm“ mruczał Albin zmieszany. „Gdyby wiedziała, jak mi się tu powodzi, zapewneby mnie tu nie zostawiła.“

„Ach, to ona z pewnością wie. Z resztą mój przybrany Ojciec mówi: że każdy człowiek powinien się do przykrości przyzwyczajać i że w młodości łatwiej ją można znosić, jak w latach późniejszych.“

Albin się zamyslił. Nakoniec rzekł: „No, jeszcze kilka miesięcy spróbuję. — Więc ten ogrodowy tylko jest twoim przybrany Ojcem? Któż był twoim Ojcem prawdziwym?“

„Moi rodzice“, zaczęła opowiadać dziewczynka, —

„byli bogaci, mieli powozy, konie, wiele sług, — w pyszne się suknie ubierali i mnie pięknie stroili. Ale jednego dnia bardzo, bardzo płakali i długo płakali, mnie bez ustanku całowali, — potem — potem wyjechali! . . . a mnie do siebie wziął ogrodnik.“ Ostatnich słów Różyczka ze łkaniem dokończyła.

„I on taką podłą pracą każe ci się trudnić? — To też bardzo niesłusznie.“

„A, mnie bardzo z tém dobrze, wiele mi już u niego rozumu przybyło.“

„Kochana Różyczko, chciój mi dać dowód twojój przyjaźni, zjedz moje śniadanie, — ja już się zmarwieniem nasyciłem.“

„Jeżeli Pan przyjmie za to te kwiatki i poziomki, które dla niego zerwałam.“

Albin wypełnił jój życzenie i przypatrywał się, jak to miłe dziecko zapijało czekoladkę i jadło ciasteczka.

„Smakuje ci?“ zapytał uśmiechając się, zapomniawszy już swojój niedoli.

„Bardzo“, odpowiedziała Różyczka z uśmiechniętymi oczkami.

„Ja to już sobie nic nie robię z takich łakoci“, mówił Albin, — „czasem okropnie pragnę chleba w domu piezonego.“

„To wierzę i bardzo!“ główką kiwnąwszy, mówiła dziewczynka, — „to przyzwyczajenie. Mnie to teraz też bardzo smakuje, — ale tak co dzień jeśćbym nie chciała.“

„Słuchaj Różyczko!“ mówił Albin, — „jesteś bardzo rozsądném, dobrém dzieckiem. Podobasz mi się. Gdybym mógł co dzień choć chwilkę z tobą rozmawiać, byłoby to dla mnie prawdziwą pociechą, chętniejbym nawet los mój znosił.“

„Powiedź to memu przybranemu Ojcu, może na to pozwoli.“

I tak się stało. Ogrodnik długą miał naradę z Pułkownikiem, po której wolno było dziewczynce, codzień w towarzystwie chłopczyków godzinę przepędzać.

Albin czuł się daleko mniej nieszczęśliwym, odkąd miał się komu poskarżyć. A Różyczka na swoje lata nadzwyczaj już pojętna, umiała słodzić Albinowi gorzkie niesprawiedliwie na nim wymierzanych kar, tak że daleko cierpliwszym i łagodniejszym się stawał. I na Oskarze towarzystwo miłej dziewczynki wpływ korzystny wywierało. Przekonywała go tak jasnymi i dobitnymi dowodami o jego niesprawiedliwości, że mimo woli i wstydział się i poprawiał. Przy każdym jednak sporze, jaki się pomiędzy dwoma chłopczykami wszczynał, Różyczka stawała po stronie Albina, jako po stronie słabszego. Niezmiernie też polubił małą ogrodniankę.

Rozdział piąty.

N a p a d.

„Bardzo Księżę nieuważnym jesteś“, mówił w początkach jesieni ochmistrz Stell do Oskara. „Gdzie leży Walladolid? co jest: Sierra-Morena? Nauka geografii zdaje cię okropnie nudzić.“

„Walladolid? Sierra-Morena?“ powtarzał chłopiec, wyglądając przez blisko otwarte okno.

„Widzę“, — rzekł niechętnie Stell, „że muszę jego roztargnieniu zapobiedz.“

To mówiąc, wstał, aby okno zamknąć.

„Słyszysz, panie Stell?“ zapytał Oskar niespokojnie.

„Ja nic nie słyszę!“ Ledwie Stell tych słów dokończył, drgnął z przestachu.

„Nie byłże to wystrzał armatni?“ zawołał blednąc.

„Burza być nie może“, odparł Albin, — „niebo nigdy nie było pogodniejsze.“

Znowu zadrzało powietrze głuchym odgłosem huku armaty.

„O Boże!“ wołał Stell, — „co téż to być może? Niepodobno, aby Ojciec Księcia już wracał, — a nieprzyjaciel był przymuszony się o 100 mil cofnąć.“ Z okien dokładnie można było zauważać, jak i inni mieszkańcy zamku w wielkiem byli poruszeniu; widocznie przejęci trwogą, jedni drugich zwolowali.

„Zaraz powrócę, poczekaj tu Księżę na mnie“, powiedział Stell i wyszedł. Chłopcy drząc patrzeli przez okno. Wkrótce można było i przerywane strzały ręcznej broni rozpoznać. Kłęby kurzawy unosiły się i zbliżały do zamku. Jeździec jakiś przypadł na spienionym koniu do ogrodowej bramy. Biedny koń padł i tarzał się w krwi, a jeździec zeskoczywszy z niego, bez tchu, bez kapelusza, w poszarpanéj odzieży biegł do zamku, zdaleka wołając:

„Nieprzyjaciel się zbliża!“

Więcój nie był już w stanie mówić; zdawało się, że mu przyspieszony oddech pierś rozerwie. Tymczasem inni przybywali jeźdźcy. Tych przynajmniej konie szczęśliwie aż do marmurowych zamkowych wschodów przyniosły. Kurz, krew i proch szpeciły ich twarz i ubiór. Niektórzy ze zmęczenia ledwie się na koniach utrzymali.

„Nieprzyjaciel zbliża się w najspieszniejszym pochodzie!“ zawołali prawie jednym głosem.

„Nieprzyjaciel? niepodobno! jaki nieprzyjaciel?“ pytała niedowierzająca służba.

„Co się stało na Boga?“ krzychał nadbiegający Pułkownik.

„Pograniczny król Roderyk“, — odpowiedział oficer, — „korzystał z nieobecności i oddalenia naszego monarchy. Zerwał pokój i naszedł nasze granice ogołoczone z wojowników. Niepowstrzymany, spiesznie postępuje i ma zamiar nagłym napadem dostać Księcia w moc swoją i zapewnić sobie tym sposobem zwrócenie zabranych mu prowincyi. Szczupłe wojsko, które mu przejścia wzbraniało, uległo przemocy. Za pół godziny nieprzyjaciel już tu być może.“

Pułkownik ręce załamał, Stell płakał jak dziecko. Służba rozbiegłszy się po komnatach, zaczęła sobie przywłaszczając znajdujące się w nich kosztowności, mówiąc: „zamiast nieprzyjacielowi, życzymy raczej sobie.“ Nikt rozkazów niesłuchał. Wszyscy się uważali za równych. Przełożeni Księcia całkiem głowę stracili. Biegali tu i ówdzie; błagali rabujących, aby Księcia ratowali. Napróżno.

Księżę Oskar i Albin lękali się wyjść z pokoju. Z przerażeniem przypatrywali się kalectwu rannych, przybywających coraz to w większej liczbie. Wszędzie rozruch, zamieszanie, strach.

„Patrz, co to jest?“ pytał zdziwiony Albin Oskara, wskazując palcem.

I Oskar oczom swoim niewierzył.

Ten Pan obsypany orderami, co tak nakazującym tonem rozkazy na wszystkie strony daje. Przed którym wszyscy się z uszanowaniem schylają. — To Ojciec przybrany małej Różyczki, ogrodowy Czosnek? — Rzeczywiście. Ubrał się na prędcę w mundur struchlałego Pułkownika i wybornie swoją rolę odgrywał.

„Pod karą śmierci“, przykazywał groźnie, — „nikt nieopuści zamku. Ty, panie Majorze!“ rzekł obracając się do podstarzałego oficera, — „obsadzisz swými ludźmi wszystkie przejścia. Każdy, kto tylko obciążony srebrem lub innemi kosztownościami, będzie chciał uciekać, — bez pardonu rozstrzelanym będzie.“ Rozkazał bez zwłoki zaprządz do królewskiego powozu sześć najpiękniejszych koni. Poczém udał się z Pułkownikiem i Stellem do komnaty księcia Oskara. I tu zdybał jednego ze służących na rabunku, miał bowiem ten nędznik pełne ręce klejnotów, — lecz upuścił je, dostawszy tak pięścią, że aż upadł jak długi. W rozsypanych na posadzce przedmiotach spostrzegł Czosnek dwa brylantami obsadzone wizerunki rodziców Oskara, — podniósł je i starannie schował do kieszeni.

„Przedewszystkiém powinniśmy Księcia ocalić, będziemy nawet musieli uciec się do fortelu. Panie Albinie! bierz co najprędzej Księcia mundur huzarów.“

„Ja na to nigdy nie pozwolę!“ zakrzyczał Oskar.

„Książę musi!“ odpowiedział rubasznie Czosnek. „A ty, panie Pułkowniku, ubieraj się w swój galowy ubiór i siadaj z panem Albinem do pojazdu, który właśnie zaprzęgli. Liczny orszak będzie Panu towarzyszył, — udasz się boczną drogą, niezbyt spiesźnie, aby cię nieprzyjaciel mógł dogonić.“

„Jak? co? czy dobrze słyszałem?“ — odrzekł drżący Pułkownik.

„Tak jest!“ poważnie odpowiedział Czosnek, musimy dać nieprzyjacielowi do zrozumienia, że Albin jest Następcą tronu; staraj się Pan do tego zastósować. A aby złudzenie było pewniejsze, aby nawet służba niczego się nie domyślała, Albin zakryje twarz chustką. Ja zaś prawdziwego Księcia będę ratował ucieczką, pieszo, w niepozornój odzieży, przez znaną mi dobrze

ścieszkę do fortecy. Przyniosę natychmiast stósowne ubranie dla Księcia. Wý, moi Panowie, o resztę się postarajcie.“

Zdawało się, że Czosnek nigdy niczém inném nie był, tylko Monarchą. Jego postawa, godność i pewność, z jaką rozkazy dawał, wprawiły Pułkownika i Stella w osłupienie.

Poznali, ochłonawszy, przytomność umysłu ogrodnika, zatém nic im nie pozostawało, jak jego życzeniom zadosyć czynić.

Wkrótce przyniósł Czosnek dla Księcia rzeczy.

„Co, ja mam te gałgany na siebie włożyć?“ zawołał z gniewem Oskar.

„Książę!“ rzekł ogrodnik ostrzegającym tonem, — „wolisze stracić swoje królestwo? zostać jeńcem? przelewać krew niewinną? Czy Książę niewidział przed chwilą tych nieszczęśliwych, którzy dla ciebie tyle ran odnieśli? Nie maszże litości nad nimi, nad sobą? nad swymi dobrymi rodzicami? Mimo nędznego przebrania, nie przestaniesz być, czém jesteś. Kilka godzin tylko masz odgrywać komedya. Spiesz się, Książę, nim nieprzyjaciel przyjdzie ci kajdany narzucić.“

Nikt jeszcze nieodważył się tak do Księcia przemówić. Nieośmielił się téż Książę przeciw woli ogrodnika, którego oko błyszczało jaśniejszym ogniem jak gwiazda na pożyczanym mundurze. Nastąpiła zamiana, a Oskar z zazdrością na Albina spoglądał.

„Dalejże Panie, wynoś się Pan!“ nalegał Czosnek na Pułkownika, który bez surduta po pokoju się błakał.

„Ach! ja wcale mego surduta znaleźć niemogę!“ płacliwie narzekał Pułkownik. Najbardziej mi chodzi o orderową gwiazdę, aby nieprzyjaciel choć cokolwiek

miał dla mnie uszanowania, gdybym przypadkiem wpadł w jego ręce.“

„O! darujże mi pan Pułkownik;“ śmiejąc się i zdéjmując ze siebie surdut, rzekł Czosnek, — „oto tu jest zgubiona owieczka. To,“ mówił, wskazując na order, „użyteczne bardzo, jakem tego co dopiero doświadczył; bez tego ten motłoch nie byłby wrócił do swojej powinności. Ach, prawda, zapomniałem wyjąć z kieszeni dwóch portretów; iskrzące kamyki, które je otaczają, pobudziłyby jeszcze bardziej chciwość nieprzyjaciela; biorę je pod moją opiekę; u mnie ich nikt szukać nie będzie.“ — I schował je za westkę.

Nareszcie wszyscy opuścili pokój. Albin usiadł, jak mu nakazano, jako udany Książę, z chustką na twarzy, do pojazdu. Jego przełożeni wsiedli z nim i ruszyli w podróż.

Czosnek zaś wymknął się z Księciem niepostrzeżenie tylnymi drzwiami zamku. Właśnie kierowali swe kroki ku lasowi, gdy Różyczka zadyszana nadbiegła, wołając: „Ojcze, ojczy! zabierz mnie z sobą!“

Ogrodnik zatrzymał się, spojrział na dziecko, namyślał się chwilę, potem rzekł: „Dobrze i tak, tém lepiej! chodź z nami moja córko!“

Bez odpoczynku szli długo w głąb' lasu.

Rozdział szósty.

Ucieczka.

„Książę!“ zawołał ogrodnik po długim milczeniu, „ponieważ mamy odgrywać komedya, muszę cię two-

jój roli nauczyć. Ty i Różyczka jesteście mojami dziećmi. Idziemy w odwiedziny do krewnych, którzy w bliskości fortecy mieszkają. Rozumie się, że ja i Różyczka już odtąd ty księciu mówić będziemy. Dobrze też będzie, jak imie Oskara na Henryka zamienimy, bo tamto nie jest tak zwyczajne, mogłoby niepożądanego odkrycia być powodem. Oto wizerunki rodziców twoich. Gdybyśmy zostali pochwytani, prędziej mnie, niż ciebie przetrząsać będą.“

Oskar wziął portrety, niewymówiwszy ani słowa. Duma jego strasznie była obrażoną, nie miał bowiem już jako Księżę być uważany. Milcząc postępował dalej. Już blisko dwóch godzin szli, gdy ogrodnik zapytał:

„Henryku, może jesteś zmęczony?“

Oskar nic nie odpowiedział.

„Henryczku!“ powtórzyła Różyczka — „nie jesteś ty zmęczony?“

Księżę, jakby ze snu obudzony, rzucił gniewny wzrok na Różyczkę, że sobie takięj z nim pozwoiliła poufałości. Wtém przypomniało mu się, co ogrodnik poprzednio mówił. Półgłosem więc odpowiedział: „Trochę.“

„To spoczniemy cokolwiek“, odpowiedział Czosnek, i poszukał wzgóрка mchem porośłego, gdzie chciał usadzić dzieci. Oskar począł się oglądać za kamerdynerem, czy nie przyniesie mu wygodnego krzesieleczka. Lecz nie widząc nikogo, usiadł smutnie, główkę spuszczał.

„Chcecie jeść?“ zapytał Czosnek.

Różyczka przywtórzyła słodkiem: „i owszem“. Oskar przeciwnie ciekawie patrzył się na ręce Czosnka, co on też z zawiniątka wyjmie.

„Taki czarny chleb!“ rzekł wzgardliwie; — „ja

tego jeść nie mogę, i zachorowałbym od takiego zimnego mięsa.“

„Bardzo mi to przykro; w pośpiechu brałem, co było na dorędziu. Głód będzie ci bardzo dokuczał, bo nie tak prędko znajdziemy dom, w którymby nam delikatne potrawy podawali;“ odrzekł Czosnek.

Ten zaś i Różyczka smacznie zajadali. Popili świeżej wody zaczerpniętej u bliskiego źródła. Oskar przypatrywał mu się zachmurzony. Łzy mu się z oczu puściły, przypomniawszy sobie wytworne w zamku jedzenie. Po półgodzinném odpocznieniu udano się w dalszą podróż. Jeszcze daleko nie uszli, a już głód na dobre zaczął Oskarowi dokuczać. Chętnieby i czarny chleb i zimne jadł mięso. Wstyd mu było z tém się wydać. Wzdychał tylko raz po raz.

Dotąd nic nie przerywało spokojności trzech podróżnych. Szum tylko drzew i świegotanie ptaków cisze przerywały. Żadnego człowieka, a tém mniej nieprzyjaciela, nie spotkali. Wtém Czosnek stanął i nadstawiał ucha. „Co to jest?“ mówił strwożony.

Dzieci czepiały go się bojaźliwie.

Odgłos trąb, tentent koni, rozkazujące głosy dawały się słyszeć po lewej ich stronie.

„Poczekajcie mnie tu, moje dzieci; muszę się iść przekonać, czy przyjaciół, czy nieprzyjaciół mamy przed sobą. Ja zaraz powrócę.“ To powiedziawszy zapuścił się w głąb lasu. Gdy znikł dzieciom z oczu, Oskar już nie mógł dłużej wytrzymać. Rozplakał się na głos.

„Bądźże cicho!“ zawołała Różyczka; „czegoż się boisz? Ojciec zaraz powróci.“

„Ach, ja się nie boję, ale okropnie mi się chce jeść;“ łkając, odpowiedział Oskar.

„A czemuś tego ojcu niemówił? — co ja ci teraz poradzę? To mówiąc szukała Różyczka po kieszon-

kach, w końcu znalazła skórkę chleba; z radością podała ją Oskarowi, który z nieudaną chciwością zjadł skórkę i zapytał: „niemasz jeszcze czego, kochana Różyczko; ja już dłużej nie wytrzymam.“

„Może znajdują się w tym boru jagódki; zostań tu, ja ci ich pójdę nazbierać.“

Oskar jój nieusłuchał, tylko za nią chodził, borówki i jeżyny jadł. Borówki, bo i gorzkie i kwaśne były, Oskar zatem wykrzywił usta. Ale że głód daleko gorszy, więc Oskar nie tylko borówki, ale byłyby nawet jadł rzeczy daleko niesmaczniejsze.

Gdy już się cokolwiek zaspokoił, postrzegła Różyczka z przestachem, że bardzo się oddalili od miejsca, na którym mieli Ojca oczekiwać. Znowu bięda! Jego królewiczowska Mość, następca tronu, książę Oskar, niewstydził się razem z Różyczką krzyżeć, aby ogrodnikowi dali znać, gdzie się znajdują. Nawet raczył zaszczycić go mianem Ojca, do czego go rano jeszcze żadna moc ludzka nie potrafiła zniewolić. Wszelkie usiłowania były próżne. Las był milczącym jak grób. Dzieci długo błądziły. Suknie im się zahaczały o kolce i gałęzie, okropnie się porozdzierały. Słońce zaszło, ściemniło się. Od płaczu biedne dzieci prawie z sił opadły. — Wreszcie zaszły na dróżkę, na której przed nimi toczył się jakiś powóz. Nabrały otuchy, zaczęły biędz za nim. Różyczka pierwsza go dopadła, schwyciła się i wskoczyła na próżną deszczkę w tyle wystającą. I Oskar szczęśliwie na nią usiadł. Nie użalał się na niewygodne siedzenie, chociaż powóz okropnie trząśł, bo po wielkich korzeniach i kamieniach jechali. Oboje cieszyli się nadzieją wydobycia z boru, a może i spotkania przyjaciół. Miała Różyczka wielką ochotę zobaczyć małym okienkiem, kto też jest w powozie, ale jój ciekawość dla zmierzchu

niemogła być zaspokojoną. Gdy ją zaczął sen morzyć, napominała Księcia, aby uchwycił się wiszących pasów, za które zwykle służący się trzyma, aby niespadł, i ona toż samo uczyniła. — Drzymały sobie dzieci, czasem oczy podnosiły i zagłębiały je w ciemny las. Powóz coraz ciszej i równiej się toczył, a wjechawszy na piasek, zupełnie dzieci ukołysał.

Wtém nagle okropny hałas je przebudził. Gniewne głosy, szcęk broni, strzelanie, krzyki, westchnienia, jęki na przemian dawały się słyszeć, — wszystko to nabawiało biedne dzieci wielkim nie do opisania strachem; — Różyczka zeskoczyła z siedzenia, — Oskara za sobą pociągnęła. Lecz ten nieszczęśliwie spadł i uderzył się w nogę, aż jęknął.

„Cicho, cicho, bądźmy kontenci, żeśmy życie ocalili“, — szeptała Różyczka; — z pewnością rozbójnicy powóz napadli i zamordowali tego, kto tam siedział; — bądźmy cicho.“

Zgiełk stawał się coraz słabszym, wreszcie wszystko ucichło. Dopiero Różyczka odważyła się podnieść główkę, dobrze się rozpatrzeć. — Powóz stał jeszcze, ale bez koni. Ostrożnie wéjrzała w powóz. Nikogo w nim nie było. „Henryczku!“ szeptała do Oskara, „wsiądźmy do powozu i czekajmy, aż się rozwidni. A potem będziemy uciekali, co tylko zdążymy. Otworzyła drzwiczki i wsiedli, wcisnęli się w kąciki i usnęli. W tym stanie niepoculi, że po kilku godzinach pojazd się poruszył. Dopiero nieszczęśliwe dzieci się przebudziły, gdy jaskrawe latarni światło w oczy ich uderzyło i gruby głos zawołał:

„Co tu u djabła siedzi?“

Okropna twarz im się pokazała.

„Kto ty jesteś chłopaku?“ — zawołał zdziczały

człowiek, — schwycił Księcia za pierś i gwałtownie nim potrząsał.

„Ja jestem księciem Oskarem“, wyjąkał struchlały Książę, zapomniawszy wszystkiego.

„Co? jak? książę Oskar? tybyś miał być księciem Oskarem?“ krzyknął nieznajomy z zadziwieniem.

„A ja“, — mówiła przytomniejsza Różyczka, „jestem księżniczką Różą!“

„Ha, ha, ha! ktoby się spodziewał tak godnego towarzystwa. — Przepraszam Księcia i Księżniczkę. Wolnoż się zapytać, który Król lub Książę jest ich Ojcem?“

„Nasz Ojciec, jest Filliputy, Król kwiatów, jarzyn i ogrodowych drzew“, odpowiedziała dziewczynka.

„Aha, teraz rozumiem! a skąd to tu przychodzicie?“ spytał nieznajomy.

„Chcieliśmy odwiedzić naszych krewnych, którzy niedaleko fortecy mieszkają. Zabłądziliśmy i ucieszyliśmy się, jakeśmy ten powóz znaleźli, — chcieliśmy w nim dnia doczekać.“

„Forteca“, rzekł rabuś, — „to przecie leży już w nieprzyjacielskim kraju, toście też bardzo zboczyli.“

„Na co to bajanie!“ dał się słyszeć basowy głos z za powozu, — „zatknij im gębę Ogniku, to będzie najmedrzej.“

Człowiek, którego tak nazwano, odwrócił się od dzieci i mrucał: „A broń Boże! Te dzieci mogą nam się na co przydać, Ferlowa starzeje i słabnie....“

„A ja ci powiadam, zamroź je“, — mówił drugi złoczyńca.

„Nie mogę; jak mnie kto do śmiechu pobudzi, to już po mojem okrucieństwie“, odrzekł Ognik.

„To ja to zrobię“, powiedział tamten.

„Nie, na to niepozwolę! To małe dziewczę za nadto zabawne.“

Drugi zamilkł. Dzieci największa trwoga opanowała. Gdy im rozkazali wysieść z powozu i oczy im zawiązali, sądziły, że je już na śmierć prowadzą. Silna dłoń schwyciła je za ręce, prowadziła przez gęste zarośla, nieraz się potykały, a po drodze słyszały takie rozmowy, że aż włosy im na głowie stawały. Nareszcie prowadzono je po schodach. Jak te się skończyły, szły po kamiennój podłodze, — słyszały potem zamykające się drzwi. Nakoniec wszystko ucichło. Ręce ich puszczone. Zatrzymały się w milczeniu.

Rozdział siódmy.

Stara Ferlowa.

Księżę Oskar i Różyczka tak byli odurzeni tém wszystkiém, co się stało, że nieśmieli się ruszyć. Stali niemi i nieporuszeni przez niejaki czas. Nakoniec westchnienie wyrwało się z piersi Oskara. Różyczka westchnęła także.

„Czy to ty Różyczko?“ pytał z bojaźnią Oskar.

„Tak, kochany Oska — Henryczku“, odpowiedziała dziewczynka.

„Ach, jakże ja się cieszę, że przynajmniej ty ze mną jesteś“, — mówił Oskar, — „zginąłbym sam w tych przygodach.“

„Mój biedny Ojciec! gdzie on téż się podział! jak on się będzie o nas troskał. — I Albin, gdzie on się obraca?“ wyrzekała Różyczka.

„Pewno mu lepiej jak nam“, odrzekł Oskar z przekąsem; „ach, jak mi żal mego munduru huzarów, mego zamku, mego ogrodu, mego dobrego jadła i — —“

„Cicho, cicho!“ szeptala Różyczka. „Kto wie, czy sami jesteście.“

Zamilkli. Słychać było dochodzący z daleka głuchy szmer, grube głosy, śmiechy podobne do rżenia koni i przekleństwa. W bliskości zaś nic się nie ruszało.

„Jabym sobie oczy odwiązał“, mówił Oskar.

„Nie rób tego, bo ci ludzie bardzo źli;“ ostrzegala Różyczka.

„Gdzie też to jesteście?“ mówił znowu Oskar pociągając nogami; „to piasek. Pewno, w jakim sklepie. Ach, jak mi się jeść chce! ach, jeść, jeść! Ale co tu się pod nogami kula? tak dość tego“

Różyczka się schyliła i coś podniosła; z kształtu i zapachu poznała, że to rzepa.

„To rzepka“, rzekła po cichu.

„Ach, ja zjem jedną, ja już doprawdy nie mogę dłużej wytrzymać.“ To mówiąc, podniósł Oskar jedną rzepkę, zębami jak mógł zwierzchnią skórkę odjął i zjadł.

„Henryczku! bodajnie rzepka lepiej smakuje, jak wczorajszy czarny chleb i zimne mięso. Nie zachorujesz też ty od niej?“ mówiła do niego Różyczka.

Właśnie Oskar otwierał usta, aby jęj odpowiedzieć, gdy usłyszeli przekręcenie klucza. Zamilkli znowu. Oskar rzucił niedojedzoną rzepkę, strugowinków już nie mógł ukryć.

„Aj, patrzcie no! ten młody panicz wnet się oswoił. To zaraz widać, co to jest Książę. Wszystko sobie od razu przywłaszcza, a nawet z zawiązanemi oczami umie zdobywać!“ Tak się odezwał piskliwy głos kobiecy.

W tej chwili zawiązanie z oczu Oskara spadło. A on ujrzał przed sobą odrażającą, pomarszczoną i żółtą twarz, której przenikliwe oczy w niego się wpatrywały. Dreszcz go przeszedł na ten widok.

Stara baba, która światło trzymała tuż przy głowie Księcia, spostrzegła jego przerażenie, rzekła uszczypliwie: „To ci się niepodobam, moja lalczko? O! ja jeszcze ani pół nie jestem taka straszna, jak Świegot ze swoją kosą. No, no, no, my się już poznamy.“ Obróciła się do Różyczki, która z zawiązanymi oczami podobną była do kupidyna.

„To, to, ta jest faworytka Ognika? — księżniczka Róża; — — hm, hm, piękne cacko.“

Różyczka przewyciężyła się, spojrzała na starą z uśmiechem.

„Widzisz, jak to ładnie“, mówiła, „tyś się tak mnie nie przerażała, jak twój braciszek Oskar.“

„Jemu nie imię Oskar, tylko Henryk“, odpowiedziała Różyczka.

Stara na głos się rozśmiała i rzekła: „Niech i tak będzie! Więc mu Henryk na imię. Słuchaj ty figlarko! umiesz ty kawę gotować?“

„O tak!“ odpowiedziała Różyczka.

„To pójdź ze mną!“ rzekła już przyjaźniej stara. „Ale twój brat tak wygląda, jakby tylko umiał pić kawę. No, no, no, przynajmniej ją zmieli, żeby zaś zupełnie grzeszny swego chleba niepożywał. A najprzód pozbiéraj i zabierz ze sobą strugowinki od rzepki.“

Książę Oskar czuł się aż do głębi serca poruszony na te propozycje. Cała jego duma się obudziła. Z największą złością deptał strugowiny swoją zdrową nogą i zuchwale na starą spoglądał.

Ta zaś z zadziwienia gębę jak szeroko otworzyła. A potem krzyknęła przeraźliwie chropowatym głosem:

„Co to ma znaczyć? ho! ho! ho! będzie ten bęben posłuszny, czy nie?“

Oskar jeszcze bardziej się rozzłościł.

„Ja jestem Księciem!“ krzyczał; „ja nie będę ani mleć kawy, ani rzepy obierał, ani strugowin wynosił.

„A ja“, odpowiedziała stara, „ja tu jestem królową i nauczę cię rozumu. To mówiąc zaczęła go bić nie-
miłosiernie po twarzy i po głowie swemi kościstemi
pięściami. Ta niesłychana śmiałość stariej wprowadziła Oskara w stan odrętwienia, że przez chwilę spokojnie ciosy odbierał. Lecz ochłonawszy, zaczął się na dobre bronić. To do takiego stopnia starą oburzyło, że uderzyła go z całej siły i powaliła na kupe rzepy. Porwała Różyczkę za rękę, wybiegła ze sklepu, drzwi zatrzasnęła za sobą i zawołała stłumionym od gniewu głosem: „Ten bęben! to to takie podziękowanie? ha! posłę ja mu Ognika albo czarnego Franka na kark. Ten dopiero mu jego leniwe kości zmiękczy. Lepiejby było, żeby mu tę gębę na zawsze zatkali.“

Napróżno Różyczka błagała z płaczem za swoim braciszkiem. Ferlowa nic nie słuchała. „Żeby ino te szelmy niespały już, to on już zobaczy“, krzyczała stara.

Śród wielkiego utrapienia i łez wielu Różyczka gotowała kawę. Musiała ją nawet pić i bułeczkę dostała. Ale w towarzystwie stariej, lubo jój się jeść chciało, nic jój niesmakowało. Rozbójnicy spali aż do południa. Stara obiad wielki dla nich gotowała. W obszernym sklepie, który za jadalnię służył, zastała stół. Najpiękniejsza bielizna go okrywała, srebrne lichtarze, solniczki, łyżki, porcelanowe talerze i półmiski, błyszczące noże i widelce w kosztownych okładzinach zdobiły go. Przyniesiono wina z przyległego sklepu. W kuchni kurzyły się pieczenie, jako to: sarny, zające, gęsi, bażanty i kuropatwy. I na innych łako-

ciach niezbywało. Różyczka we wszystkiém stariej pomagała, wszystkiego téż dostała. Jak się już rozbójnicy zgromadzili, Ferlowa odprowadziła Różyczkę do Oskara, a zamykając ją z nim, mówiła: „Jużes mi tam niepotrzebna, idź do swego niegodziwego braciszka i powiedz mu czego się samo chcąc pozbawił. Oj, wywdzięczy mu się Ognik za mnie!“

Nieutulony w żalu siedział Oskar na piasku wyrzekając: „Ach, żebym lepiej był umarł! dawniej żaden Hrabia, ani nawet Książę nieważył się bić mnie, a tu, teraz, taka stara brzydka zła baba mnie bije.“ I szlochał.

„Oj widziałam ja, jak ona cię mocno biła.“ Odezwała się Różyczka.

„Ach, bicie, jak bicie, ale wstyd jeszcze większy jak ból“, jęczał Oskar.

„Ale kochany Henryczku, toć sobie sam byłeś winien. Ani jedna perła niebyłaby ci z korony wypadła, chociażbyś téż był rzepkę obierał, kawę meł i strugowiny wyniósł. Ja musiałam daleko jeszcze przykrzżeć pracować, a jestem czém byłam.“

„Ale za taką bić drobnostkę!“ dąsając się, mówił Oskar.

„To widzisz“, prawiała Różyczka, „jako musiał być Albin nieszczęśliwy, który tak niesprawiedliwie tak wiele różg i kar odbierał.“

Oskar zamilkł. Różyczka dała mu trochę łakoci, które potrafiła dla niego ukryć, mimo czujności stariej Ferlowej, i tém go cokolwiek zaspokoila.

Zapytała go o portreciki rodziców jego, wzięła mu je, owinęła chusteczką i w piasku w kąciku głęboko zagrzebała.

„Bo“, mówiła, „jakby to przy nas rozbójnicy znaleźli, zginęlibyśmy.“

Ledwie co to powiedziała, drzwi się otworzyły, wtoczył się Ognik z rozzłoszczoną Ferlową.

„Chłopcze!“ zabelkotał, „co to, to ty niechcesz być posłusznym naszój Ferlowój. Poczekajno, ja ci uszy oberzne.“

Zdawało się, że wcale na prawdę tę groźbę uczynił, bo złapał krzyczącego Oskara za ucho i duży nóż w jego rękę błysnął.

Rzuciła się Różyczka pijanemu na ręce i zaczęła wołać: „Panie Ognik, panie Ognik! jak Pan memu bratu uszy oberznie, to on już nic słyszeć nie będzie. Katar mu się rzucił téj nocy na słuch, dla tego nie-rozumiał, co pani Ferlowa od niego chciała. Ale on teraz już dobrze słyszy i wszystko będzie robił, co mu rozkaże. Wszak prawda, Henryczku?“

Przez usta Oskara przemknęło się drzące „tak“, i znowu Różyczka wyszła zwycięsko. Stało się, co pomyślała. Ognik się rozśmiał, puścił ucho Oskara, nóż schował i rzekł: „Tą razą to ci jeszcze daruję, ale jak jeszcze raz nieusłuchasz, to ci głowę razem z katarzem utnę.“ Wyszedł z gdyrającą Ferlową ze sklepu, z którego i dzieci po dwu godzinach wypuszczono. Gdy weszły do mieszkania starój, nie było już ani jednego rozbójnika.

Rozdział ósmy.

Pan zostaje sługą.

„Piękny mi sypialny pokój!“ utyskiwał Oskar, gdy stara dzieciom wskazała miejsce do spania. „Zamiast pięknego obicia, wysokich zwierciadeł, strojnych lich-

tarzy, czarne obmeszałe ściany, z których woda sączy. Ani szyfionierki, ani etażerki, ani bióreczka, ani kanapy, ani fotelu, ani stołu, ani nawet okien z firankami!... Zamiast gładkiej posadzki, prosty piasek!... I to ja mam na tém brudném, nędzném spać posłaniu?! Pies mój miał lepsze legowisko. Co ty na to mówisz Różycko?..

„Hm, że trzeba podług stawu groblę sypać, jak zwykł mój przybrany Ojciec mawiać“, odpowiedziała Różycka. To schronienie lepsze niż bór, a to liche posłanie cieplejsze, niż grób. Nie musimy się porównywać z tymi, co mają lepiej; ale z tymi, co mają gorzej niż my.“

Różycka zabierała się lampę zagasić, lecz Oskar zawołał: „O nie gaś lampy, ja jeszcze nigdy ciemno nie spałem, bo się okropnie boję!“

„Niemogę“, odrzekła Różycka; „stara Ferlowa wyraźnie mi przykazała zgasić lampę, i daleko się téż śpi lepiej bez światła; to tylko przyzwyczajenie.“ To mówiąc zadmuchała lampę.

„Co téż się stało z tymi ludźmi, co w powozie siedzieli?“ odezwał się znowu Oskar.

„Pewno ich zamordowali; niewidziałeś to krwi w powozie? Ach, okropni to jacyś ludzie mają nas w swojej mocy; powinieneś koniecznie być bardzo posłuszny, kochany Henryczku!“

Dreszcz przeszedł Księcia. Poznał teraz dopięro, jak przeszłe życie jego było szczęśliwe, a nigdy za nie Bogu nie dziękował. Bardzo zmartwiony, z smutnemi myślami usnął.

Nazajutrz bardzo rychło Ferlowa przyszła ich obudzić, bo starzy długo nie sypiają. Oskar przeciwnie w najlepsze zasypiał. Obudzić się jednak musiał, stara bowiem krzyczała.

„Janie!“ zawołał, zapominając się, „przyniès światło i ubieraj mnie.“

Jan naturalnie nie przyszedł. Oskar sam się ubierał; było mu to trochę trudno, témbardziej, że jeszcze zupełnie było ciemno. Niemógł swoich rzeczy znaleźć. Rózyzka przeciwnie prędko się ubrała. Przyzwyczajona w wieczór swoje sukienki składać i kłaść koło łózcicka, niepotrzebowała rano ich szukać.

„Czekajże, aż ja się ubiorę!“ wołał na Rózyzkę tonem błagającym Oskar, bo się męczył wciąganiem bóczków.

Rózyzka wypełniła jego życzenia, bo bez niej nie byłby nawet wyszedł ze sklepu.

Po śniadaniu Ferlowa zadała każdemu z nich pracę. Oskar miał metalowe guziki chędożyć u rozmaitych surdutów, które zapewne były skradzione. Stara dała mu drewno do wkładania guzików, proszek i okowity.

„Żebyś ino z tego nie kosztował!“ zagroziła mu, wskazując na flaszkę. Niepotrzebna była przestroga, bo już sam zapach téj wódki był dla Oskara odrażający. Stara usiadła w wysokie krzesło, kazała Rózyzce włosy swoje, które jeszcze były i długie i gęste, wycesać i spleść w warkocz. Dziewczynka natychmiast wypełniła jój rozkaz. A Oskar się pocił ze strachu. On ani wiedział, jak proszku, szcotechki i okowity użyć. Stara jak wąż grzechotnik utkwiała swoje małe przenikliwe ślepie w swoją ofiarę. Widząc, że sobie poradzić nie może, przyskoczyła do niego, piniąc się od złości, tak że Rózyzce pęk włosów w rękę został; zaczęła bić Oskara krzycząc z całego gardła: „Ty niegodziwy chłopaku! to ty takiego nieznośnie głupiego udajesz? to ty to nic pracować nie myślisz?“

Szczęściem Oskara było, że groźbę odcięcia mu głowy jeszcze w świeżej miał pamięci; bo jak go Fer-

lowa biła, wił się od złości pod jej ciosami, — ale w milczeniu ulegał swemu losowi.

Gdy mu już pokazała, jak ma się ze wszystkiém obejść, usiadła na powrót w krzesło, i kazała się na nowo czesać.

Różyczka uczesawszy wybornie Ferlową, musiała rzepę ostrugać, pokrajać i do ognia przystawić. Oskar miał sobie polecone przerębywanie drzewa, bótów i trzewików chędożenie, i inne podobne prace.

Ile razy Ferlowa wychodziła, tyle razy dzieci starannie zamykała. Niemogły wcale rozpoznać miejscowości. Lecz później zaczęła się opuszczać, szczególnie wiele wolności Różyczce zostawiała. Ta użyła jej na rozpatrzenie całego mieszkania; były to szczątki jakiegoś zamku rycerskiego, który sobie rozbójnicy za schronienie obrali. Drzwi zaś, które pewnie na górne piętro prowadziły, nietylko że były na klucz zamknięte, ale zdawały się być zewnątrz zaryglowane.

Rozbójnicy nie co dzień wracali do domu. Czasem ich nie było całe tygodnie. A ledwie się zjawili, dzieci osobno zamykano. Znały tylko Ognika, który im taką pamiętkę po sobie zostawił. Tym sposobem wiele czasu upłynęło. Krnąbrność Oskara została przełamana, ale z nią utracił także swoją odwagę i nadzieję. Chętnie wypełniał wszystkie rozkazy, jakkolwiek mu czasem było przykro. Znosił cierpliwie lżenie i bicie Ferlowej. Za to wylewał wiele łez w nocy, i to jeszcze wtenczas, kiedy Różyczka usnęła. Z żalem przypominał sobie dawniejsze szczęście, rodziców, przełożonych, sługi, Albina. Jakżeby on teraz z nimi umiał się obchodzić; o ileżby on był lepszym!

Raz obudziła się Różyczka, a usłyszawszy jego łkania, zapytała się z współczuciem: „Co tobie jest, kochany Henryczku?“

„Ach, ja jestem bardzo nieszczęśliwy!“ odpowiedział. „Czy my tu mamy w tém gniaździe rozbójniczym całe życie nasze przepędzić?!“

„Tego naturalnie nie umiem ci powiedzieć“, mówiła Różyczka. „Powiadał mój przybrany Ojciec często: „Wszystkie wasze troski zdajcie na Pana; on najlepiej wie, co robi. Kiedy nikt niepomocze, on zsyła pomoc.“ I ja zawsze, ile razy mię tęsknota opanowała, modliłam się do Ojca niebieskiego. Zawsze pocieszył mnie i zaspokoił. Spróbuj téż ty tego, kochany Henryczku.“

Oskar usłuchał Różyczki, modlił się gorąco; poczem uspokoił się i smacznie usnął.

Jednego dnia stara Ferlowa sprawiła dzieciom wielką uciechę, wprawdzie z kwaśną miną i z przy-musem. Coś sobie w rękę zrobiła, co jój przeszkadzało ciężarów nosić. „Chodźcie“, rzekła zgryźliwie, „przynieście mi wody.“ Dała dzieciom ćwierci, wzięła świecę, pęk kluczy w rękę i szła naprzód. Różnemi gankami doszły do małych niskich drzwi; a gdy je otworzyła, światło dzienne padło na dzieci. Kilka sekund stały jakby w zachwycie; aż w końcu za pomocą długo niewidzianego światła weszły na małe podwórze, otoczone ze wszystkich stron zapadłemi budynkami i wysokimi murami. W środku stała studnia, do niej stara dzieci zaprowadziła.

„Nie rozdziawiajcie tak gęby“, kłótliwie się odezwiała, spostrzegłszy, że dzieci ciekawie i wesoło się oglądały. „Jak się będziecie gapily, to wody nie nabierzecie.“

Posłuszne dzieci wezwaniu, spuścili węborek w głąb studni, wyciągli go i napełnili ćwierci. Opuścili podwórze ze skrytém westchnieniem, stara drzwi zamkła. Zdarzenie to powtórzyło się kilka razy, tak na pozór

nie nieznaczące, było ono dla więźniów najwyższej radości powodem, ale zarazem powiększyło ich tęsknotę do najwyższego stopnia. Szczególnie Oskar już w tych ponurych sklepieniach nieodzyskał spokojności.

Rozdział dziewiąty.

Nagle postanowienie.

Stara Ferlowa lubiła wódeczkę nadewszystko. Każdego rana zwykła pociągnąć sobie porządną porcyjkę. Jednego dnia zostawiła flaszkę na stole, przy którym Oskar łupał łuczywo do rozpalania ognia. Nieszczęśliwym przypadkiem wyprysnęło mu drewno z ręki, uderzyło o flaszkę i w tysiącne ją rozbiło kawałki, a płyn rozlał się po ziemi. To ubodło Ferlową jak najdotkliwiej. Jak tygrys, z rozpostartemi szponami, rzuciła się na biednego Oskara. O mało mu oczu nie wydrapała. Rozpacz go ogarnęła, gdy ujrzał jój do gniewu kołujące oczy. Odskoczył o kilka kroków w tył, a wywijając nożem, krzyknął: „Babo! nie dotykaj się mnie! bo cię przebiję bez namysłu!“

Ferlowa skamieniała; spojrzenie i postawa Księcia okropnie ją przestraszyły. Jednak jój nie wstrzymały od wyzionienia długiego szeregu zelżywych i groźących wyrazów.

„Niech ino Ognik wróci“, krzyczała. On ci już łeb naprawi, albo utnie. Wij się wtedy jak wąż, czołgaj jak robak pod mojami nogami, nie zlituję się nad tobą.“

Wyglądała jak furja, mówiąc to, tak że Różyczka nie wątpiła już o nieszczęśliwym losie Księcia.

On, tymczasem stał ciągle z nożem w ręku, uważając każdy ruch stariej czarownicy.

Usiadła, wygadując jeszcze, na krzesło, rozkazała Różyczce włosy sobie uczesać. Różyczka usłuchała jęj, a ona spoglądała na Księcia ukradkiem; ten, nóż odłożył, a łuczywo połupane na boku układał. Tęj tylko chwili oczekiwała, aby zemstę swoją na nim wyrzucić. Chciała, szybko jak błyskawica zeskoczyć; nóż porwać i nim Księcia przebić. Cały pomysł skończył się na chęci. O mały karku nie nakręciła, gdy nagle robiąc poruszenie, głowy od poręczy krzesła odsunąć nie mogła. Starając się gwałtem uwolnić, wykrzykiwała na Różyczkę; lecz ta milczała. Z zadziwiającem postanowieniem, nieznacznie warkocz stariej przez odstęp poręczy przeciągła, kilka razy owinęła i sznurkiem od włosów mocno przywiązała. Pobiegnęła po sznur, przywołała Księcia do pomocy; mimo szamotania się stariej, przywiązali jęj ręce do krzesła. Stara ruszyć się nie mogła, za to języka nie żałowała. Kłątwy, próśby, obietnice, na przemian z jęj ust płynęły, aż wreszcie piana ze złości z nich się wydobyła.

Książę z tryumfującą miną stanął przed nią, mówiąc: „Różyczko, miałbym wielką ochotę, temu staremu smokowi, co nam tyle zadał cierpień, choć sztuczka dać w ten nos czerwony.“

„Fe, wstydz się!“ odpowiedziała Różyczka; „byłbyś rzeczywiście tak zły, jak ona. Mój przybrany Ojciec mawiał często: że nieprzyjacielowi, który nam już szkodzić nie może, nie trzeba nic złego robić, bo to złe serce zdradza. Pomyśl raczję o niebezpieczeństwie, w jakim się znajdujemy. Uciekać musimy, co sily mamy, nim się tu który z jęj współników zjawi.“

Chwyciła za pęk kluczy, opuściła z Oskarem sklepienie i z przytomnością umysłu wyprowadziła go na podwórze, a stamtąd za mur. Różyczka, uwolniwszy Księcia i siebie, upadła na kolana, wzniosła ręce ku niebu, dziękując Bogu za natchnienie. Oskar wzruszony tym widokiem, poszedł za jęj przykładem. Poczém znowu uciekali. Lecz dokąd mieli swe kroki kierować, aby pogoni rozbójników uniknąć?

„Bylebyśmy się z boru wydobyli!“ zawołał Oskar.

„A wiesz ty, którądy iść mamy?“ zapytała Różyczka.

„Nie!“ przyznał Oskar.

„Czy nieprzypominasz sobie, gdyśmy z zamku wychodzili, z której strony był wschód, czy przed, czy za nami?“

„Nie uważałem“, odpowiedział Oskar.

„Ja wiem z pewnością, że musimy się zwrócić ku południowej stronie, żeby dojść do zamieszkałej okolicy.“

„Ale jakże chcesz znaleźć południe, kiedy niebo tak gęstemi pokryte chmurami, że nawet ani jeden promień słońca przedrzeć się nie może?“

„O! to nie tak trudno!“ odrzekła Różyczka. „Przypatrz się tylko tym sosnom. Uważajno, ta jedna strona pnia jest mchem pokryta i chropowatsza niż druga? Tamta jest północna, a ta południowa strona.“

Oskar często po boru biegał, ale coś podobnego wcale mu do głowy nie przyszło. Dziwił się bardzo wiadomości Różyczki. Lecz nie zatrzymując się dłużej, drzewa mając za kompas, biegli coraz dalej. Przybyli po niej jakim czasie na pole. Już widzieli z daleka dachy jakiejś gościnnéj wioski. Zaczerpnęli w radości nowych sił. Gdy znajdując się na połowie drogi między borem i wioską, Różyczka zadrzała i słabym od trwogi zapytała się Oskara głosem: „Słyszałeś?“

„Ha, ha, ha!“ śmiech się rozległ w niejakiej odległości. Oskar zbladł jak trup.

„To głos Ognika!“ wyrzekła zmieniona. „Tam z za tych głogowych krzaków się wydobył.“ Niewiedzieli, co począć. Ucieczką ratować się nie było podobnym. Dzieci odwykłe od biegania, już zupełnie drogą odbytą były zmęczone; z resztą czy mogli przed silnym Ognikiem i jego towarzyszem uciec? Wołać o pomoc? Nikogo więcej na polu nie było, jak ci złoczyńcy. A nimby mieszkańcy wioski zdążyli na ich pomoc, niezawodnie byliby już byli zamordowani. Ukryć się? Ach, nie na około nie było, jak otwarte pole, gdzie nigdzie niską kapustą, gdzie nigdzie ścierniskiem pokryte. Nie było żadnego dołu, żadnego rowu, żadnego muru, żadnego krzaku!

Oskar miał się za straconego. Różyczka zaś na chwilę tylko straciła nadzieję. W oka mgnieniu dobiegła zagonów kapusty.

„Tak rób zupełnie, jak ja!“ szeptała Księżciu, „ale się o kilka kroków odemnie oddal.“

Odwróciła się od drogi, którą złoczyńcy przechodzić musieli, chustkę bardziej wciągnęła na głowę, rękawy przeciągnęła za palce, tak, że wisiały kawałek; rozkrzyżowała się; a tak nieporuszenie stojąc, wyglądała do złudzenia jak straszdyło na ptaki.

Księżę ją jak mógł najlepiej naśladował. Szczęściem, że zabrał sobie kapelusz, który mu prawie na nos wchodził. Pobrudzone i podarte suknie dwojga dzieci bardzo korzystne były do wykonania ich zamiaru i osiągnięcia dobrego skutku ich wybiegu.

Zaledwie się ustawiły, rozbójnicy opuścili swoje miejsce odpoczynku za krzakami i zbliżali się ku dzieciom drogą. Było ich tylko dwóch, jak mogły dzieci po głosach rozpoznać, Ognik i czarny Franek.

„Byłby to wyborny figiel“, mówił pierwszy, gdyby ten nasz Henryk prawdziwym był Księciem. To złowienie więcéjby nam przyniosło, jak dotychczasowe nasze łupy. Utrzymują wprawdzie nasi żołnierze, że Księcia w bliskości jego zamku w niewolę zabrali. Nieprzyjaciel nie chce tego wierzyć i szukają wszędzie swego Księcia. Tego koniecznie trzeba dociec. Nasi niepotrzebują o niczém wiedzieć. Złoto lepiej na połowę się dzieli, niż na dwadzieścia części. Mnie coś zaraz tknęło, jak ten chłopiec mówił, że on jest Książę Oskar. On téż rzeczywiście ma książęce branie się, — rozkazywać tylko, nie nie robić, nie słuhać, i owszem chciałby, żeby mu wszyscy posługiwali. Ale ta dowcipna dziewczynka zupełnie mię z toru zbiła.“

„To właśnie sęk!“ ryknął czarny Franek. „Jeżeli ten chłopiec jest Księciem, któż jest to dziewczę? On siostry nie ma. Hę? — to nic z tego wszystkiego!“

„Rycz ty razem z djabłem!“ odezwał się ze złością Ognik. — „Nie widzisz tam w kapuście ludzi?“

„Ludzi?“ odrzekł Franek, oglądając się. — „Toż przecie straszdyła; — boś to ślepy?“

„Jabym na to przysiągł, że to ludzie;“ odpowiedział Ognik. „Jak gdyby żywi tam stali. Mamże moich pistoletów na nich poprobować i ciebie przekonać?“

Dzieci usłyszały odwiedzenie kurka palnej broni. Zimny pot na czoło Księcia wystąpił. Ledwie się spokojnie mógł utrzymać. Już chciał uciekać. Przez dziurkę, jaka w kapeluszu była, zobaczył, że Różyczka stoi jak mur. To mu dodało odwagi, nie ruszać się z miejsca. Czarny Franek podczas tego odpowiedział Ognikowi: „Tak, tak, ty przysięgasz, a nic sobie z przysięgi nie robisz. Mnie zabraniasz krzyżeć, a ty chcesz takiego hałasu narobić, żeby nam wszystkich chłopów na kark sprowadzić. Żeby te straszdyła ludźmi były,

uciekaliby oni na twoje zagrożenie jak zające. Oszczędź sobie prochu i ołowiu na lepszą zwierzynę!“

Rozbójnicy się oddalali; dzieci czekały, póki do boru nie weszli, nim dalej zaczęły uciekać.

„Dzięki starłej Ferlowej, że nas zawsze zamykała, jak złoczyńcy do domu przychodzili. Inaczéj byliby po postawie i ubiorze nas poznali“, odezwała się Różycka.

Oskar przyznał jéj słuszność i poznał, że tylko jéj po Bogu życie swoje winien. A gdy ją chwalił, przerwała mu temi słowy: „Potrzeba uczy przemysłu!“

Rozdział dziesiąty.

S i w e k.

Wpółgodziny byli we wiosce. Jakże radośni, jakże pewni się czuli, gdy wśród uczciwych ludzi się ujrzeli! Teraz dopiero prawdziwie cieszyć się mogli odzyskaną wolnością. Serdecznie pozdrawiali wieśniaków, którzy im tu i ówdzie się przypatrywali. Wszystko, co tylko Oskar widział, obudzało w nim uniesienie. Owocowe drzewa, drobiazg tu i tam latający, bocian przechadzający się po dachu, gęsi i kaczki, co na stawie pływały, krótko mówiąc, każda drobnostka, na którą dawniej ani zważał. Nareszcie doszli do małej oberży. Tu raczyli się ludzie winem, piwem, kawą i potrawami. Niektórzy grali w kręgle, inni rozmawiali wesoło.

„Jeś mi się chce; odpocznijmy tu cokolwiek i zjedzmy co!“ rzekł Oskar.

„A masz ty pieniądze?“ zapytała niewinnie Róży-
czka.

Oskar włożył rękę w kieszonkę. Lecz o wstydzie!
Następca tronu nie miał ani grosza majątku.

„A moje portreciki?“ mówił dalej zachmurzony.

Wzdrygła ramionami Różyczka, mówiąc: „Nie mie-
liśmy czasu ich odgrzebać.“

„Jednak Stell mi mówił, że one wiele tysięcy warte.
Za jeden z brylantów, które tworzą oprawę, rok cały
moglibyśmy się wyżywić. Czybyto nie można tym lu-
dziom tego rozbójniczego gniazda odkryć, tam ich za-
prowadzić, portrety odkopać i całą tę jaskinię wysadzić
w powietrze!“

Różyczka główką potrząsała. „O nie!“ rzekła, „już
to nie wypada z wielu zrobić przyczyn. Główną zaś
przyczyną jest, że twój stan byłby odkryty, co by tobie
i twemu ojcu większą przyniosło szkodę, niżby zysku
było na brylantach.“

„Ale cóż my bez pieniędzy pocniemy? w obcym
i to jeszcze w nieprzyjacielskim kraju?“ narzekał Oskar.
„Głód mi się daje coraz bardziej we znaki. Ja ledwie
mogę już wytrzymać. A spojrzysz na nasze brudne i
podarte suknie!“

„Bądźże cierpliwy, Henryczku!“ kojąc żal Księcia,
mówiła dziewczynka. „Dziękowaliśmy najpierw Bogu,
że nas z ciemnic i mocy starój Ferlowej wybawił. Nie
możemy wszystkiego od razu od Niego wymagać.
Przyjdzie czas, przyjdzie i pomoc. Z głodu przecie
nie umrzemy. Spuść się już w tém na mnie.“

Kazała Oskarowi poczekać i znikła. Wróciła nie-
zadługo z uśmiechającą minką i kawałkiem chleba
w rękę.

„Lepiej zebrać, niż kraść; oto tu masz co jeść, a

tam co pić;“ rzekła; jedną ręką podając Księżciu chleb, a drugą wskazując na studnię.

Oskar wprawdzie przyjął chleb z wdzięcznością i smacznie zjadał; wolałby był jednak coś lepszego popić, niż wodę. Zdawało się, że jego życzenie się spełni.

Jakiś jeździec przyjechał na siwym koniu, z którego pot tylko kipiał. Zsiadł nieznajomy z konia; a niespostrzegłszy żadnego człowieka, coby mu go potrzywał, zawołał na Oskara: „Słuchaj chłopcze! jeżeli sobie chcesz na piwo zarobić, przeprowadź kilka razy mego konika, a ja pójdę się pokrzepić.“

Księżę ucieszył się, że tak łatwym sposobem przyjdzie do pieniędzy, chętnie odebrał od nieznajomego léjce i wolno przeprowadzał konia.

„Piękne zwierzę!“ mówił do Różyczki, która za nim chodziła. „Mój koń był jednak daleko piękniejszy. Oj, gdybym ja tu go miał, a tybys umiała jeździć, usiedlibyśmy na nim oboje i wkrótce bylibyśmy w domu.“

„Nie, nie!“ zawołała Różyczka, „ja się boję koni. Zrzucają, a nawet i gryzą.“

„Ale gdzie tam!“ zapewniał Oskar; „patrz, ten siwek mnie wcale nie zna, a jaki on to spokojny, jak go klepię. Sprobuj tylko i pogłaskaj go.“

Różyczka zebrała się na odwagę i pogłaskała konia.

„Ale jak można na tak wysokiego konia wsieść?“ zapytała Oskara.

„Nic łatwiejszego“, odpowiedział Księżę. Na to właśnie tu jest strzemień. A prawdziwy jeździec to i tego niepotrzebuje. Jednym susem powinien już na koniu siedzieć. Patrz ino, czy ten człowiek na nas uważa, co do niego koń należy. Jabym ci tak chętnie chciał pokazać, jak to się robi.“

„Nie! nie!“ przestrzegala Rózyzka. „Nie probuj! Mógłbyś sobie jaką szkodę zrobić.“

Księżę na ten wykrzyk niezważał. Hop!... i już był na koniu. Kiedy się jeszcze na siodle poprawiał i za lęzce chwycił, koń się zwrócił, tegim cwałem pobiegł, skąd przyszedł.

Nagła ta ucieczka wywołała najokropniejszy hałas.

Rózyzka, krzycząc i płacząc, biegła za uciekającym Księciem. Klnąc wyleciał właściciel konia z domu. Ludzie odstąpili wozów, goście kieliszków, kregli i flaszki. Wszyscy pomieszani biegli, śmiejąc się, pytając, odpowiadając.

Tymczasem Księżę zniknął. Tylko zdala kłęb kurzawy wskazywał kierunek jego uciezki. Rózyzka byłaby pod ziemię się schowała. Jeździec drapał się w głowę, mruząc: „Jak nabyty, tak stracony.“ Zniechęcony, zapłacił co był winien i poszedł sobie. Druzy wrócili do swoich zatrudnień i wkrótce o tym wypadku zapomnieli.

Gdy siwek tak niespodzianie puścił się cwałem, Księżę nie był w stanie go wstrzymać. Zmuszony był chwycić się mocno szyi i grzywy strachliwego zwierzęcia, żeby niespadł. Wielki kawał drogi tak ubiegł. Nakoniec zwolnił biegu, a Księżę dopiero mógł zebrać cugle. Jednak mimo swęj znajomości w sztuce jeźdzenia, niemógł konia zniewolić do powrotu. Za każdą razą jak ściągnął cugle, koń się spinał, i na nowo cwałował. Miałże on znijsć z niego, i puścić, czy za cugle trzymając go odprowadzić? Toby było najrozsądniej; bał się przecież gniewu właściciela. Księżę walczył z sobą, co ma robić; a koń dalej a dalej go unosił, jak gdyby najlepiej wiedział, do kogo należy. Nakoniec ukazało się Oskarowi dosyć duże miasto. Ciekawie wpatrywał się na wieże kościoła i na znaczniej-

sze budynki. Niejedna myśl, nie jedno przedsięwzięcie i plany krzyżowały się w jego głowie. Wtém gwałtowne porwanie się konia myśli mu przerwało. Zdawało się, jak gdyby pobudzony był bliskością miasta, bo jak szalony popędził.

Odkakiwał wystraszony Oskar od siodła; skry pryskwały z podków siwka, leciał jak piorun po bruku miasta; krzycząc i wyzywając uciekał stary i młody przed szalonym jeźdzcem, który bez względu na skupionych ludzi najeżdżał. Tak przebiegł kilka ulic. Nakoniec wpadł przez otwartą bramę na obszerny dziedziniec, gdzie z radością zarżał, i stanął przed stajnią. Nim Oskar przyszedł do przytomności, otworzyło się okno na pierwszym piętrze, ukazała się głowa kobieca w nocnym czepku i dał się czysty głos słyszeć: „Otóż siwek powrócił!“

Głowa się cofnęła; inna, rubinowym nosem uzbrojona, jój miéjsce zabrała.

„Na prawdę siwek wrócił!“ chrapliwie wyrzekła.

„Siwek powrócił!“ pisnęła służąca, wypadając ze sieni.

„Siwek mój wrócił!“ zawołał wesoło woźnica, wychodząc ze stajni.

„Siwek nasz wrócił!“ radośnie zawołało dwoje dzieci, które wywabione zostały rozmaitemi wykrzykami z ogrodu. Zwierzę to, którego powrót powszechną radość wzbudził, zdawało się ją szczerze dzielić. Rżało i wesoło prawą nóżką biło w ziemię.

Księżę zaś, w swoim żebraczym odzieniu, odgrywał nader lichą rolę. Stężał zupełnie od gwałtownej jazdy. Niemógł się ruszyć. To bojaźliwe, to wyzywające rzucał na przybiegających spojrzenie. Tak ze sił opadł, że forszpan musiał go z konia zdjąć i jak kawał kłoca na ziemię postawić.

Najprzód siwek był przedmiotem powszechnéj uwagi; chwalono, głaskano i pasiono go. Dopiero zaczęto Księcia wypytywać o sposobie powrotu faworyta. Oskar opowiedział prawdę, wprawdzie nie bez wewnętrznej trwogi, aby jego pomysł wskoczenia na konia, bez woli i wiedzy właściciela, nie ściągnął na niego ostréj kary. Jakże mu było przyjemnie, gdy wszyscy jego młodocianego roztrzepania nietylko nie ganili, ale jeszcze za najszcześniejszą myśl uważali i pochwałami obsypywali. A cóż dopiero siwek; co to za pieczyoty odbierał za okazane przywiązanie dla swego Pana, i jak rozum jego podziwiano, że z pierwszej korzystał sposobności, aby do domu powrócić.

Dopiero Księżę sobie wytłumaczył, gdy się dowiedział, że siwek jeszcze tego rana skradzionym został i ów jeździec złodziejem być musiał.

Zdawało się Księciu, że to zdarzenie wypadnie na jego korzyść. Jegomość z rubinowym nosem, którego miejscowym Fyzykiem tytułowano, kazał mu, jako szczęśliwemu oddawcy siwka, przedewszystkiem dać posiłek, czego Księżę nader potrzebował. Poczém zapytano go, skąd pochodził i gdzie miał swój dom.

Tą razą wystrzeżał się Oskar rozsądnie bardzo wyznać, że jest Następcą tronu sąsiedniego kraju. Opowiedział tylko to, co ogrodnik mu zalecił. Niezataił jednakże niewoli swojej w jaskini zbójców, dla saméj już Różyczki, którą pragnął koniecznie jak najprędzój zobaczyć. Opowiadanie jego wzbudziło powszechne zadziwienie i wielkie współczucie. Pomimo nędznego ubioru, poznali słuchacze jego, że niepoślednie odebrał wychowanie.

Fyzyk przyrzekł go wziąć do siebie i o Różyczce się dowiedzieć. Tymczasem wskazano mu miejsce od-

poczynku; wkrótce téż zasnął głęboko z błogiém uczuciem pewności przyjaznego schronienia.

Rozdział jedenasty.

Falszywy Książę.

Gdy Albin w towarzystwie Pułkownika i Stellego do karety wsiadł, przyłączył się także do niego jego stryj i szambelan. Odtąd ten tylko rozkazy dawał, bo pierwsi całkiem głowę stracili. Nieprzyjaciela wkrótce ujrzeli, wtedy Szambelan zawołał: „niech się ratuje, kto może!“ Pchnął drzwiczki i chciał wychodzić; lecz wyprzedzili go dwaj Ochmistrzowie Księcia, ucieszeni nieskończenie, że się pozbyli niebezpiecznej roli, którą im odgrywać kazano. Cały orszak w oka mgnienia się rozproszył, nawet stangreci.

Pyszny pojazd królewski został opuszczony, w nim znajdował się Albin i stryj jego, który spokojnie uciekającym się przypatrywał, najmniej nie okazując ochoty pójść w ich ślady.

Z wielkiém przerażeniem zwrócił Albin oczy swoje na stryja i zadał mu pytanie: „Czy i my nie będziemy się ucieczką ratowali?“

„Nie!“ odrzekł stanowczo stryj. Taby nam się na nic nieprzydało. I takby nas doścignęto. Korzystajmy z całej téj historii o ile można najwięcej. Mieliśmy im pomagać w podójściu, starajmy się ich wszystkich podójść. Bądź spokojny, mój Albinie! Nic ci się złego nie stanie. Owszem, szkaradne twoje położenie kozła ofiarnego skończyło się! Czas odwetu nadszedł! Od-

ąd jesteś księciem Oskarem, a ja, przestałem być twym stryjem. Dobrze to sobie uważaj. Od tego całe twe szczęście zależy. Niechaj los padnie na jaką ze chce stronę, my tylko zyskać możemy.

Albin nie wiele co z téj mowy rozumiał. Ani nawet tyle czasu nie miał, aby ją sobie rozważył. W téj saméj bowiem chwili pojazd został nieprzyjacielskiém wojskiem otoczony. Przywódzca oddziału salutując do drzewiczek się przybliżył.

„Mój Panie, jesteśmy twoimi jeńcami!“ rzekł Szambelan. „Szczęście wydało w moc twoję Następcę tronu. Zdaje mi się, że nie potrzebuję zwracać uwagi na to, co prawa narodów i ludzkość ci nakazują względem tak dostojnego jeńca.“

„Nie omyliłeś się Pan w swoim mniemaniu“, odpowiedział oficer. „Umiem dokładnie cenić to szczęście, które mnie najpiérwszemu dozwala złożyć Jego królewiczowskiej Mości moje uszanowanie. Najłagodniejsze obchodzenie się powinno Księcia przekonać, że tylko z imienia jesteśmy nieprzyjaciółmi.“

Po pełnym uszanowania ukłonie, obrócił się oficer do swych ludzi, sześciu kazał zsiść z koni i te do pojazdu założyć, i natychmiast ruszyli ku granicy nieprzyjacielskiej.

Albinowi coraz bardziej podobała się jego rola. Wszędzie jak najgrzeczniej uprzedzano jego życzenia. Gdy wjeżdżali do jakiego miasta, a tysiące ciekawych cisnęło się na około pojazdu, jego piękność i uprzejmość wychwalając, kapelusze i czapki z głębokim uszanowaniem zdéjmując: pierś jego wzdymała się dumą i radością pod prześlicznym mundurem huzarów, na którym precudna gwiazda orderowa błyszcziała. Zazdrości godnym wydawał mu się stan Panującego. Nikt mu teraz nieguwernerował; nikt do nauki nie naglił;

nikt się jego woli nieopierał. Było to życie pełne rozkoszy.

Stryj Albina z tajemnym zadowoleniem postrzegł bratunka upodobanie w swoim nowym położeniu.

Albin musiał u nieprzyjacielskiego Generała wyprosić sobie ciągle stryja przy sobie pozostanie.

Pierwszym celem podróży Albina była stolica kraju nieprzyjacielskiego, którego Monarcha życzył sobie Księcia oglądać. Później miała najmocniejsza forteca zakład ten korzystnego pokoju zachować.

Niemало się Albin niepokoił przyszłym widzeniem się z Królem nieprzyjacielem. Stryj starał się tajemniczo go zaspokoić i uważał za konieczność oświecić go we wszystkich stósunkach prawdziwego Księcia. Zaczął mu tedy w te słowa opowiadać:

„Ojciec Oskara jest wojownikiem; jego usiłowania najważniejsze zasadzają się na tém, aby swemu synowi zostawił w sukcesyji możne, dobrze urządzone i bogate państwo. Dla téj przyczyny zawikłał się w wojny, które mu, lubo nie są dla niego bez korzyści, zjednały wiele nieprzyjaciół. Masz najlepszy dowód w napadzie nieprzyjaznym, któremu ty swe szczęście winienesz. Być może, że Król sąsiedni niebyłby się na takie przedsięwzięcie odważył, gdyby ojciec Oskara nie był kwiatu swego wojska ze sobą zabrał, aby tyle set mil odległego nieprzyjaciela zwyciężyć; tam już od dwóch lat pozostaje. Również dawno Królowa przebywa u wód włoskich, dla poratowania swego słabego zdrowia. Oboje królestwo dziwić się nie będzie, jeżeli syna swego niepoznają. W twoim wieku lat kilka zupełnie fizyonomią zmienia. Do tego jeszcze przyznać należy, że bardzo pożądanym był pobyt Księcia w odosobnionym i odległym od stolicy zamku, gdzie tylko niewielu podanych znali go dokładniej. Niemusisz także sobie wy-

obrażać, że książęce osoby, tak, jak z niższej klasy rodzice, są z najmniejszymi wypadkami dzieci swych obznajomione. Kiedy ci zawsze dzieci mają około siebie, wodzą je na pasku, pielęgnują, doglądają, w ich chorobie nad niemi czuwają: pierwsi zostawiają dzieci swe pieczy zastępców i sług, przychodząc czasem tylko odwiedzić je w ich pokojach, aby je ujrzeć na chwilę.“

Tak rozprawiał Szambelan. Albin nie wyraźnie odgadywał zamysły stryja.

Ten uprosił sobie przed ostatnim noclegiem widzenie się tajemnie z towarzyszącym im Generałem.

Gdy się zeszli, Szambelan odezwał się w te słowa: „Panie Generale, tyleśmy wspaniałomyślności dowodów odebrali w całym twoim kraju, żeby to było najczarniejszą niewdzięcznością, gdybym zataił dłużej przed tobą tajemnicę, któraby przy układach o pokój wiele wpływu miała. Gdy wieść nas doszła o niespodzianym napadzie na nasz kraj, i osobiste bezpieczeństwo księcia Oskara zagrożonem było, chwyciliśmy się wszystkich sposobów ratunku. Nakoniec uradzano, że: gdyby Książę wpadł w ręce nieprzyjaciół, miano zaprzeczyć, jakoby on był prawdziwym Księciem; tylko wyznaczyć miano, że to jego współtowarzysz, którego, aby zwieść nieprzyjaciela, ubrano w Księcia suknie; gdy zaś prawdziwego Następcę tronu miano inną drogą uprowadzić. Spodziewano się tęp omamieniem zmniejszyć korzyść nieprzyjaciela, i mniej ostre warunki pokoju uzyskać. Miłość kraju, zalecała mi zatajenie tej tajemnicy; lecz szlachetność twoja, panie Generale, wzruszyła mnie bardzo, i zanadto niesprawiedliwie ojciec Księcia wydarł wam wasze prowincye, abym nie miał być otwartym. Zresztą proszę o słowo honoru Generala, abyś mojej szczerości niechciał na moją szkodę nadużyć.“

Generał słuchał z wielką uwagą tego wyznania. Uściskał z wdzięcznością chytrego Szambelana, zapewniając mu największe za jego szczerość wynagrodzenie. Po południu następnego dnia ukazała się oczom jeńców stolica pełna pałaców; z niemalą jednak, choć ukrytą trwogą, przejeżdżał Albin jej bramy.

Rozdział dwunasty.

F i z y k.

Napad nieprzyjaciela i prawdopodobne wzięcie Oskara do niewoli, sprawiło wielkie w jego ojczyźnie poruszenie. Wysyłano jednego gońca po drugim z uwiadomieniem szasłych wypadków do oddalonego Króla. Co było wojska, nawet mieszkańców spokojnych, do broni powołano, aby przeciwko nieprzyjacielowi wyruszyli w celu wydarcia mu jego tak znakomitęj zdobyczy. Tymczasem rozeszła się pogłoska, że zamiast Księcia, zabrano do niewoli współtowarzysza jego. Księcia nigdzie odszukać nie było można; on, ogrodnik i Różyczka, jakby w ziemię wpadli. Gdzieby być mogli, dochodzono jak najstaranniej, lubo zachowano tajemnicę, aby nieprzyjaciel niedowiedział się o prawdziwym stanie rzeczy. Każdego dnia rozchodziły się nowe wieści i nowe kłamstwa o uwięzieniu Oskara.

W tém powszechném zamięszaniu nikt niewiedział, czyich i jakich rozkazów słuchać należało. Wtém zjawił się hrabia Orbin, szwagier Króla; żył on na wygnaniu za tajemne i w brew Króla z siostrą tegoż zawarte śluby małżeńskie. Gniew Króla trwał ciągle.

A żeby swoje zemstę zaspokoić, wydarł hrabiostwu kilkoletnią ich córeczkę i w niewiadomém ukrył schronieniu. Hrabia stawiał się obecnie, aby się upomnieć praw ojca i szwagra. Wydał odezwę, w której oznajmiał, iż rządy państwa aż do przybycia Króla obejmuje, i poddanych do posłuszeństwa sobie zachęcał. Być może, iż skrycie zapragnął uskutecznić dalsze swe widoki, tymczasem starał się stér rządów uchwycić. Przedewszystkiém pragnął miejsce ukrycia swój córki odkryć. Starania jego były bezskuteczne.

Wszystko to stało się podczas pobytu Oskara i Rózycki w jaskini rozbójników.

Dosyć już było późno, gdy Oskar obudził się w domu Fyzyka, który odtąd miał być jego opiekunem. Przy niesiono mu śniadanie; daleko było ono lepsze, jak to, które od nieznośnej Ferlowej dostawał. Jeszcze zajadał, kiedy pani Doktorowa, a z nią służąca, trzymająca spore zawiniątko, do niego weszła. Zupełny ubiór, składający się z pary ciemnych spodni sukiennych, westki, szarego koloru kurtki z czerwonym kołnierzem, butów, pończoch, kastorowego kapelusza z złotą przepaską, przeistoczył go w małego służącego. Pierwsze zlecenie, jakie odebrał, było odprowadzenie dzieci Doktora do szkoły. One się to dopiero pyszniły, że za nimi szedł mały wprawdzie, ale jednak służący; często się téż na niego oglądały, trącały się ze śmiechem, szepcąc do siebie ustawicznie.

Z boleścią przypomniał sobie Oskar czas, gdzie tłum kamerdynerów stał na jego rozkazy. Nędza, jaką już przeżył, nauczyła go pokory o tyle, że chętnie wypełniał, co mu kazano. Chędożył noże i widelce, nakrywał stół, usługiwał przy obiedzie i wieczerzy; milczał, gdy go łajano.

Po obiedzie przychodził do dzieci Fyzyka nauczyciel

muzyki. Dźwięki fortepianu wprawiły Oskara w zachwycenie; uczył on teraz całą wartość muzyki, co się tak długo wrzasków kłótliwój Ferlowej nasłuchiwał. Jakżeby się chętnie teraz do niej przykładał! Jak żałował, że go do niej tylko przymuszać musiano! Też same uczucia ogarnęły go, gdy był lekcji języka francuskiego przytomny. Śmiał się w duszy serdecznie, przysłuchując się dukwieniu dzieci. Ledwie się mógł wstrzymać od głośnego różsmiania się i przemówienia płynną francuzczyzną do nauczyciela. Rzeczywiste pragnienie go owładnęło za wszystkimi kunsztami i naukami, które dawniej tak niechętnie nabywał! Teraz, szczęśliwym się mienił, jeżeli mu kazano półgodzinki siwka przejeżdżać.

Przyjemnie było Doktorowi dowiedzieć się, że Oskar, który znowu Henryka imie przybrał, umiał pięknie pisać. Zrobił go zaraz swoim pisarkiem. Ponieważ Doktor pisywał oprócz niezliczonych recept wiele jeszcze zaświadczeń, popsuł sobie tak rękę, że nikt nie mógł jego gryzmołów przeczytać; prości ludzie utrzymywali, że on to umyślnie robił, aby się nie można domyślić jego wykretów lekarskich.

Najpiérw przyszedł szewc i wymagał zaświadczenia, że jego świeżo wynaleziony szuwaks jest nieszkodliwy i odpowiada wszelkim wymaganiom rzeczywistój dobroci; przyniósł zarazem pudełko dla Fyzyka, i nadto obiecał być wdzięcznym.

Fyzyk otworzył pudełko, przybliżył swój wielki, czerwony nos do czarnego szuwaksu i długo wachał.

„Aj, aj!“ sapając zawołał, „kwaśny, bardzo jakiś kwaśny zapach! bardzo wiele kwasu siarczanego! He?*

Zaczerwienił się szewc na te słowa i odpowiedział: „Bronń Boże, panie Doktorze! ani kropelki w nim nie ma witryoleju, jakem żyw!“

„Zobaczmy, zobaczmy przy rozbiórce chemicznym,“ odrzekł Fizyk. „Ma tu majster, panie Myller, receptę z sobą na ten szuwaks?“

„Oto tu jest“, podając świstek papieru, odrzekł szewc. Doktor przebiegł go oczyma.

„Sadło, hm“, mruzczał; „palona słoniowa kość, hm; syrop, ocet piwny, hm, hm; sok z 12 cytryn; ho, ho! bardzo drogi szuwaks.“

„Wcale nie drogi“, rzekł szewc, „pudełko éwieré-funtowe dziewięć groszy.“

„Oj, oj!“ chrapał Doktor; „cytryny bardzo drogie! może będzie można innego użyć surogatu. No, mój majsterku, przyjdź do mnie za tydzień. Taki kunsztowny rozkład chemiczny wymaga i czasu i pracy.“

Szewc wyszedł, a Fizyk odezwał się do Księcia: „Będiesz mi bóty chędożył tym szuwaksem; uważaj, czy od niego skóra będzie czarna, miękka i sucha, albo téż czerwona i jarka.“

Potém weszła jakaś dama w żałobie. Opowiedziała Doktorowi, że była wdową po urzędniku i że potrzebuje, aby uzyskać pensją od Rządu, zaświadczenia lekarskiego, że jest słabego zdrowia, które jéj niepozwała zajmować się żadną trudniejszą pracą.

Doktor uchwycił ją za puls; z politowaniem na nią spojrział i rzekł: „Pani jesteś bardzo blada i cierpiąca, puls nazbyt prędko bije; Pani cierpisz na uderzanie krwi do głowy.“

„O tak jest!“ odrzekła ta nieszczęśliwa Pani. „Nie mogę Panu opisać, ile ja cierpię; głowę mam tak słabą, że prawie wszystko zapominam, a takie osłabienie czuję, że ledwie chodzić mogę.“

Fizyk podyktował Księciu zaświadczenie, przejrzał je, podpisał i wręczył wdowie.

Odebrała je z unizoną grzecznością, pytając się, ile za nie winna.

Doktor spuścił oczki swoje siwe, mówiąc: „To drobnostka.“

Talar bity wsunął się w jego łapkę. Dama wyszła, lecz natychmiast wróciła.

„Jeszcze zapomniałam Panu powiedzieć“, rzekła, że mam tak krótki wzrok, iż ledwie mogę oczka, pończoche robiąc, rozróżnić.“

„A, a to główna rzecz; zaraz to w zaświadczeniu umieszczę.“ Odrzekł Doktor, i tak zrobił.

Poczém Fizyk nadeszły dziennik miejskowy wziął w rękę; czytając go, zmarszczył okropnie czoło. „Głupstwo, głupi ludzie!“ wzgardliwie bąkał. „Co oni chcą? utrzymują, że wino, wódka, ocet i piwo fałszują, że te trunki do głowy uderzają, i Bóg wie, co jeszcze! Ja przecie się na tém najlepiej znam. Muszę ich do milczenia zmusić. Hej, Henryku! napisz no, co ci podyktuję; każesz to wydrukować w Tygodniku.“

Oskar usiadł, a on tak dyktował:

„Utrzymują, że wino, wódka, ocet i piwo jest w naszym mieście fałszowane. Tych wszystkich, którzy tego fałszowania dostateczne dowody mogą złożyć, wzywa podpisany Fizyk miejskowy do siebie.“

Co filut Doktor przewidział, to się stało. Nikt się na to wezwanie nie stawił. Bo ponieważ fałszerze fałszują żywność i napoje bez świadków, a po większej części ludzie nie znają się na chemii; a drudzy nie chcąc się wyjawieniem na nienawiść wystawić; przeto cała ta sprawa pozostała bez skutku. Tryumfujący Doktor umieścił to w Dzienniku; nadto uspokajał publiczność zapewnieniem, że przed kilku laty rozbierał chemicznie wszystkie te napoje i nic szkodliwego dla zdrowia w nich nie znalazł.

Jak zaś te rozbiory chemiczne się odbywały, miał Oskar sposobność się przekonać. Jednego dnia kazał mu Doktor przynieść ze sklepu dwie flaszki zapieczętowane. Odkorkował jedną po drugiej i przy fajeczce wypróżnił. Cmokając, chrapiąc, sapiąc i dym z fajeczki z lubością na pokój puszczając, podyktował Oskarowi następujące zaświadczenie:

„Pan Bader, piwowar, przyniósł mi dwie zapieczętowane flaszki z żółtozłotym płynem, który Korbowém piwem białém nazwał. Przy odkorkowaniu uderzył mię mocno-korzenny zapach słodu i chmielu. Wlany w szklanę, okrywa się białą pianką i jest zupełnie przezroczystym. Na języku pozostał smak nie ostry, lecz przyjemny i słodki. Po użyciu go nie nastąpił ani ból głowy, ani mdłości. Mogę więc śmiało zaświadczyć, jako napój ten, wzmacniający żołądek, jest zarazem strawny, pożywny i zdrowy.“

Im bliżej Oskar swego Pana poznawał, tém mniej miał dla niego szacunku. Pieniądz był u niego bożyszczem. Biédnego niemiłosiernie odpychał, albo ladajaką receptą zbywał; choć jako lekarz rządowy obowiązanym był ubogich darmo leczyć. Nie jedno dziecko, nie jedna matka, nie jeden ojciec rodziny umarł przez jego winę. W takich razach tłumaczył się zawsze, że głupi ludzie nie obeznali go jak należy ze stanem pacyenta.

Co najbardziej dokuczalo Oskarowi, to niewiadomość o losie Róźyczki. Zeznanie swoje o rozbójnikach złożył sądownie, wskutek czego wysłano oddział żołnierzy, aby ich wytropić. Lecz siedlisko ich zastali próżnem i zrujnowanem. O Róźyczce zaś nie było ani śladu.

Gwałtowna żądza wrócenia do swoich obudziła się w jego sercu. Jak tylko mógł dowiadywał się w tera-

zniejszym stanie o odległości i kierunku dróg do swego kraju. Chciwie oczekiwał sposobności do ucieczki.

Rozdział trzynasty.

Podwójne spotkanie.

Naraz rozeszła się pogłoska, że poselstwo z kraju przeciwników przybyło, aby o wymianę Księcia traktować; lecz chciało się naprzód przekonać, czy to jest prawdziwy Książę lub nie. Na tę wiadomość Oskarowi ledwie serce nie wyskoczyło.

Wcześniej już tego dnia, w którym mniemany Książę miał do miasta przybyć, wymknął się Oskar z domu Doktora i wniósł się między tłum ciekawych, którzy ulice i place zapełniali. Wybrał sobie kamień leżący pod kamienicą na rynku, co najbliżej domu się znajdował, gdzie miał mniemany Książę wysiąść. Długo musiał Oskar czekać, nim nieprzyjacielskie, raczej dla niego przyjacielskie, poselstwo przecisnęło się przez ciżbę i zajęło miejsce przed domem dla Księcia, w celu jego przyjęcia przeznaczonym. Składało ono się z urzędników wysokich, oficerów sztabowych, przełożonych i sług w niewolę zabranego Księcia. Z głębokim wzruszeniem poznał Oskar znane mu twarze. Chętnie byłby się nawet najniższemu ze sług na szyję rzucił. Łzy wytrysnęły mu z oczu. Rozsądek walczył z pragnieniem ukazania się swoim współziomkom. Musiał przyznać przed sobą, że odkrycie małej jego osoby mogłoby ojczyznę jego na niebezpieczeństwo narazić. Kto wie jednak, która z stron upierających się miałaby

przewagę, gdy nieprzewidziany wypadek, niepewność Oskara nagle zakończył.

Podczas gdy jego oczy zwrócone były na poselstwo, w bliskości jego dał się gruby głos słyszeć, temi słowy: „Do sto piorunów! Franku! patrz tam, oto Księżę Oskar!”

Słyszając to jedna najbliżej stojąca osoba z orszaku poselstwa, obróciła się. Był to ten sam Pułkownik, który swoimi ludźmi wstrzymał rabunek zamku. Oko jego skierowało się ciekawie w kierunku ręki człowieka, która z tłumu ku pobliskiemu domowi wyciągniętą była. Stał tam Oskar, rozplywający się we łzach. Na jego widok zmieniło się oblicze Pułkownika, który zawołał: „Księżę Oskar!”

„Tu, tu!” wołał Oskar, wyciągając ramiona, zapomniawszy wszystkiego. Rzucił raz jeszcze wzrok przerażenia na cisnącego się ku niemu Ognika, a potem zeskoczył z kamienia, chcąc schronić się pod opiekę przyjaciół.

„Księżę Oskar! Księżę Oskar!” powtarzano zewsząd. Wszystkich oczy zwróciły się na chłopca, który się do posłów przedzierał, i na nieznanego, który go ścigał.

„Księżę Oskar! księżę Oskar!” zawołali posłowie, zadziwieni uwiadomieniem Pułkownika. Spięli ostrogami konie, ludzie krzyczeli, pióra się na kapeluszach wiewały, najokropniejsze powstało tłoczenie się. Oskara tak ścisnęli, że się ruszyć nie mógł. Również jak Ognik, tak i czarny Franek, na miéjseu pozostali. Oskar był w najwidoczniejszym niebezpieczeństwie. — Wtém zadrzało powietrze tysięcznym wykrzykiem: „Księżę Oskar!” I zagłuszyło głosy odzywające się w bliskości Oskara. Wtój samój chwili ciężka konnica poprzedała pojazd z mniemanym Księżciem.

W okropnym zamieszaniu zniknął Oskar. Dopiero na innéj ulicy się ukazał, wyniesiony prawie cizbą

z głównego miejsca zebrania. Posłowie, Ognik i fałszywy Książę, wszystko z jego oczów zniknęło. Smutny i tęskny wrócił do domu. Tu musiał dogonić, co opuścił rano, i całe poobiedzie przysiedzieć przy pisaniu. Znowu rozeszła się pogłoska, że posłowie nie uznali przybyłego Księcia; ale że prawdziwego w tłumie postrzegli. To uważano jednak za podstęp, aby tym sposobem Następcę tronu bez wielkiej ofiary odebrać. Najdziwaczniejsze wieści krążyły, których Oskar chciwie słuchając, kilka razy w pisaniu się omylił.

Nagle wszedł jakiś dobrze ubrany człowiek do pokoju Doktora, prosząc o jego lekarską radę. Mówił, że przy wjeździe Księcia odebrał mocne uderzenia, że nawet miał kilka ran, które go bardzo dolegały.

Jak tylko Oskar usłyszał głos tego człowieka, schylił się mocno na stół, bo poznał w nim okropnego Ognika, który z pewnością zbliżenie się do domu Doktora wziął tylko za pozór, aby przypatrzeć się Oskarowi. Strach jeszcze większy go ogarnął, gdy Doktor kazał mu octu i wody przynieść do obmycia rany Ognika, który badawczy wzrok na niego rzucił. Oskar zakrył sobie twarz, udając, że mu się krew nosem rzuciła, i opuścił pokój. Lecz zamiast żądane przedmioty Doktorowi ponieść, wybiegł bez namysłu na dwór, i pierwszą lepszą drogą za miasto. Jak gdyby tuż za nim rozbójnik gonił, tak bez odetchnięcia uciekał. Uciekał mimo żgania w boku, coraz dalej a dalej, aż wbiegł ku wieczorowi do jakiejś wioski. Tu przedsięwziął cokolwiek wypocząć i pożywić się, a potem na całą noc znowu uciekać. W tym celu przybliżył się do okien gościńca, zaglądając ostrożnie, czyby tam było dla niego bezpiecznie wniknąć. Jakże dobrze, że był tak przezorny! Przy stole, blisko okna, siedziało siedmiu ludzi, głównym zaś mówcą był czarny Franek.

„Tylko co go niewiadać“, mówił tenże. Punkt o szóstej przyrzekł się z nim tu stawić; umarłym, albo żywym, wszystko jedno. On już go tu sprowadzi, możecie się na to spuścić! Teraz wczesnie ciemno, a droga daleka.“ To powiedziawszy zbójca wstał, za nim drudzy, i ku drzwiom się zbliżali.

Jak wiatr sunął Oskar od okna w przyległy dom. Wpadł do sieni; a że ciemno było, uderzył się mocno o jakiś tam sprzęt stojący w lewą nogę, że uczuł najgwałtowniejszy ból. Wstrzymując się gwałtem od wyrzekania, usiłował rozpoznać rękoma przedmiot tam stojący; były to taczki; na nich stała próżna trumna, której wieko, przez gwałtowne tacek uderzenie, spadło.

Tajemnicze uczucie popchnęło Księcia do tego przybytku śmierci, które wiorami było napełnione; użył ich do okrycia się niemi, aby ująć oczom swych nieprzyjaciół.

Byłby chętnie i wieko na siebie zaciągnął; to mu się jednak nie udało. Kiedy się jeszcze w trumnie nie usadowił, dwóch ludzi zeszło ze schodów. Zawieszony na ramionach pierwszego sznur, oznaczał właściciela tacek; niebieski fartuch drugiego oznaczał wiejskiego stolarza. Ostatni niósł w prawej ręce lampkę, która tylko słabem i niepewnem światłem się oświecała.

„Jak wam mówię, sąsiedzie! toż za mało mi dajecie za tak daleką drogę aż do miasta. Ja przecie przed nocą nie wrócę do domu“, rzekł pierwszy.

„Wierzcie mi kumie, ja wam więcej dać niemogę;“ odpowiedział stolarz. „Ja bardzo mało mam na tém zarobku. Ten człowiek jest skąpy, niewiele też chce dać. Dla tego też i trumnę kazał na wsi zrobić, bo w mieście za drogo mu było. Macie dosyć.“

Pomrukując robotnik wziął wieko, położył na trumnę, niedomyślając się, co w środku było.

„Diabelnie ciężkie to pudło, pewnieście najmokrzęższe deski na nie wzięli.“

„Ej, wy żartujecie! Toć wy dziesięć razy większe ciężary woziliście, niż taką trumnę.“

Koło zaturkotało po deskach siennych, a człowiek z taczkami niebawem wyjechał.

Chociaż trumna była wysoka i pełno w niej było dziur od sęków, Książę ledwie się w niej nieudusił. Wielkie krople potu wystąpiły mu na twarz, gdy usłyszał wołające głosy na człowieka, który go niósł.

„Cóż się stało?“ odezwał on się, stawając.

„Nie spotkaliście gdzie chłopca w ciemno niebieskich spodniach, w kurtce z czerwonym kołnierzem?“ zapytał Ognik. Po głosie go Oskar poznał.

„Nie!“ odpowiedział krótko i zgryźliwie zapytany.

„No, to sobie dobrze uważajcie,“ rzekł dalej Ognik.

„Na tym chłopcu możecie bardzo dużo zarobić. On uciekł swemu Panu, ukradłszy mu wiele kosztowności. Kto go schwyci, dostanie dziesięć talarów nagrody.“

Oburzył się w trumnie Książę na takie kłamstwo. Byłby się chętnie na zbójcy zemścił. Lecz na jego woźnicy zrobiło to wielkie wrażenie.

„Toby było!“ zawołał żywo. „Aż mi ślinka na taki kąsek do gęby idzie. Jabym go już złapał, żebym tylko mógł.“

„Ja wam z duszy tego połowu życzę, a jak tego chłopca złapiecie i dostawicie gościnnemu w waszej wsi, dostaniecie wasze dziesięć talarów.“

„O! ja już będę oczy wytrzeszczał; spuście się na to.“

Popchnął taczki i dalej poszedł. Przykre uczucie ogarnęło biednego Oskara w dusznym jego schronieniu.

Lecz dokąd go wiozą? Czy do dopiero co przez niego opuszczonego miasta, czyli téż do innego? Ta niepewność bardzo go dręczyła.

Rozdział czternasty.

Kominiarz.

Nieznośnie się Księciu dłużyło. Nakoniec nastąpiło mocne wstrząśnienie trumny, i usłyszał kołatanie po bruku. Nagle ucichło, a trumna zniesioną została. Gdy uczuł jój postawienie, słyszał Oskar brzęk pieniędzy i głos wymawiający te słowa:

„Oto macie na piwo, mój człowieku. Niemoglibyście mi téż powiedzieć, czyby tam w waszój wsi nie było chłopca, coby chciał zostać kominiarzem? Mnie umarł chłopiec i trudno mi tu innego dostać.“

Człowiek ten podziękował za odebrane pieniądze, mówiąc, że nie zna żadnego takiego chłopca, a potem Oskar słyszał oddalające się kroki. Grobowe nastąpiło milczenie. Jeszcze nieco poczekał w trumnie, poczem uchylił wieko. Ciemna noc go otaczała. Wyszedł ostrożnie z swego tyrczasowego grobu i macając szukał drzwi. Wtém wyciągnięte palce jego prawej ręki dotknęły się twarzy ludzkiej, którą lodowate zimno śmierci przejęło. Wykrzyk przerażenia wyrwał się z piersi Oskara. Krzyczał ciągle i coraz mocniej, taki go przestрах ogarnął! Równyż, lecz daleko silniejszy krzyk trwogi, dał się w przyległej stancyi słyszeć, i wiele głosów razem zawołało: „Antek ożył! Antek ożył!“

Można dokładnie było słyszeć, jak krzyżący ludzie z domu uciekali. Oskar nie śmiał się ruszyć, żeby znów niedotknąć się trupa. Tak stał czas niejaki, poczem przez szczelinę we drzwiach ujrzał światło, drzwi zostały uchylone, i głowę męską spostrzegł, która bojaźliwie zagłądała. Światło padło na Oskara. Błady jak umarły, z stojącymi na głowie włosami, w sukniach obczepionych białymi wiorami, stał wyprężony niedaleko łoża umarłego. Zadrzał i cofnął się człowiek ze światłem. Lecz Oskar rzucił się za nim. W oczach jego uwijały się, w niedoopisania dzikich postawach, czarne wielkie diabły, kobiety, dzieci, nareszcie i człowiek ze światłem, a wszystko pospołu rozmaitemi głosami wrzeszczało: „Umarły Antek idzie!”

Kto wie, coby się było stało, gdyby się był Oskar nieupamiętał, i w diablach nie poznał w żałobie ubranej rodziny umarłego. Udało mu się nakoniec przekonać wszystkich, że nie był umarłym Antkiem.

Człowiek ze światłem zawstydził się, że przed 12-letnim chłopcem uciekał. Gburowatym głosem rzekł do Księcia: „Toć gadaj, kim jesteś, i coś robił u umarłego?”

Chociaż Księżę niecierpiał kłamstwa, bo przywykł od dzieciństwa niem się brzydzić, niemógł w żaden sposób prawdy powiedzieć.

„Byłem w służbie u jakiegoś Doktora“, rzekł po chwili namysłu, „gdzie nie było bardzo dobrze. A że się dowiedziałem, że tu umarł kominiarczyk, przyszedłem w jego wstąpić miejsce.“

Po tych słowach twarz wpytującego się człowieka rozjaśniła się troszeczkę. Obéjrzał Księcia od góry do dołu, który kominiarzami był otoczony.

„Jesteś jakoś niby i dosyć duży i stary,“ mówił majster. „Nasze rzemiosło łatwe do nauczzenia, a tu

trzeba być młodym i małym. Ale spróbujemy. Prawie tak jesteś duży, jak zmarły Antek; będą ci jego rzeczy wraz. Jeżeli mi przyrzeczesz, że się będziesz dobrze sprawował, to i dobrze.“

Dał Oskar jak najchętniej wymagane przyrzeczenie. Musiał opowiedzieć, jakim sposobem wszedł do stancyi umarłego.

Oskar, że, nieznając domu, macał rękoma, póki drzwi nieznalazł, wszedł, wpadł w trumnę napełnioną wiorami, potem namacał twarz trupa, co go tak przstraszyło, że zaczął krzyżeć.

Śmiano się z biédnego Księcia, do swego cechu przyjęto i wesoło do izby wprowadzono.

Jednakże największa niespokojność Oskarem miała. Ze strachu oznajmił chęć zostania kominiarzem, nie domyślając się, że na prawdę go zaraz przyjmą. Powołanie do tego rzemiosła zdawało mu się ze wszystkich najbardziej odrażające. I nie bez przyczyny. Właśnie rozpoczęła się przykra jesień. A pomimo tego miał boso, prawie tylko w koszuli, rychło rano do pracy się udawać. To mu się okropnym wydawało. Byłby jak najchętniej i stamtąd uciekł. Majster musiał być przebiegły, poznał coś z jego miny i z oczu go niepuszczał. Nazajutrz zaraz uczono go wchodzić w komin, mając niezwłocznie rozpocząć praktykę. Niesłychana rzecz! Książę, przyzwyczajony od niemowlęcych lat do największej czystości, miał zostać tak okropnie obmurzony! Widząc wąski czarny otwór, do którego się miał wczolgać, dreszcz go przeszedł. Lecz, nic niepomogło; był przymuszony goręcz swego losu do dna wychylić. Czarny mały diabełek wleciał naprzód jak kot do komina, po nim wlaził Oskar, a po Oskarze czeladnik, aby go w przypadku jego spadnięcia powstrzymał.

„Uważaj Henryku!“ zawołał pierwszy chłopiec, „jak się kolana i plecy o ściany opierają, aby się dalej posuwać.“

„Teraz się oprzyj lewém kolanem;“ krzyknął czeladnik. „Tak! no, teraz prawém! dalej! dalejże! czegoż się ociągasz?“ Czeladnik gniewnie głową popchnął Oskara.

Póki Księżę widział światło, szło jako tako. Ale jak go otoczyła gruba ciemność i sadze zaczęły się z pod nóg chłopaka na niego sypać, odstąpiła go zupełnie odwaga. To płakał, to się krztusił i nie mógł się z miejsca ruszyć.

„No, jakżeż tam?“ pytał czeladnik.

„Ach, ja przecie nie mogę!“ wyrzekął Oskar. „Paskudne sadze gryzą mię w oczy, szczypią w nos, zatykają mi usta. Nie mogę nic rozpoznać. Nie mam już tchu! ratujcie! duszę się! umieram!...“

„Kominiarze śmiali się na całe gardło. Idźno już dalej! o! my to już znamy! Ty nie umrzesz. Nam też nie lepiej było.“

Lecz gdy Oskar mimo tego z miejsca się nie ruszył, czeladnik zaczął go szczypać, popychać, żeby tylko dalej wchodził.

Nic nie pomogły prośby, narzekania, płacze; Księżę musiał się wdrapywać wyżej. Oczy mając od gryzących sadzy zamknięte, zęby zacięte, czołgał się z rozpaczą serca w głąb' komina.

„Widzisz, że to idzie!“ mówił czeladnik. „I ten komin wcale wygodny, nie za obszerny, nie za ciasny, i tylko jednopiętrowy, zaraz wyjdziemy z niego.“

Więcej umarły, jak żywy, wyczołgał się Oskar na górę. Szczęście dla niego, że nie mógł oczu otworzyć, boby mu się na tym wysokim dachu w głowie zakołowrociło.

„Teraz uwieńcz twoje dzieło okrzykiem: ho! ho! holla!“ doradzali mu jego czarni towarzysze.

Naturalnie musiał Oskar i tą razą usłuchać; krzyczał więc, co siły miał. Zabrano się do powrotu przez ten sam komin, ale już daleko prędzej szło jak na górę.

Po niejakiem czasie uległ Księżę zwykłej kominiarzów chorobie kolan; leżał długo, mając kolana nadzwyczajnie popuchłe i posinione. Gorzko nie raz płakał na swém łożu boleści, opuszczonym się czując od swoich i pozbawionym przyjaźnego współdziału. Wyzdrowiał nakoniec, i bolesny swój zawód na nowo rozpoznał. Jak najrychlej kominiarze opuszczali ciepłą swą pościel, spiesząc do pracy w mroźném powietrzu, bosemi nogami po lodowatych kamieniach. Gęsięj skóry dostawali pod grubą koszulą, a ramiona cisnęły ciężkie drabiny. Dzwoniąc zębami, stali wszyscy, czasem całe półgodziny, przed zamkniętymi domami, nim zaspane sługi, rozzłoszczone rychlém przebudzeniem, drzwi im otworzyły. Po kilkogodzinnój pracy, wracano do domu, aby się ciepłém uraczyć śniadaniem. Poczém rozpoczynały się wycieczki bez przerwy trwające aż do wieczora, który złotym nazywali kominiarze czasem odpoczynku.

Ogień rozpalono na kominie, czeladnik zasiadł na przeciw niego na oczernioném krzeselku. Kurzył z długiej fajki wyborny dla niego knaster, bo stęchły i załadajaką cenę nabyty. Czytanie jakiego romansu o rycerzach lub o rozbójnikach przy łójówce dwugroszowej, uzupełniało jego zadowolenie, przerywane czasami głośniami figlami chłopców. Przywracał spokojność niekiedy pogroźkami, a niekiedy i kułakami. Chłopcy bawiły się mimo tego wysmianicie nygusowaniem, wałkowaniem się i niebardzo smaczném dowcipkowaniem.

Nikt zapewne biédnemu Oskarowi za złe nie weźmie, że życie tego rodzaju nieznośném było dla niego. Miał wprawdzie pożywienie i dobre i obfite, lecz duch jego nie miał żadnego orzeźwienia. Żaden z chłopców mu się tyle niepodobał, aby się do niego mógł przywiązać. W tém smutném położeniu przypomniał sobie słowa Róźyczki, napominające go, aby wznosił myśli swe do Boga. Do Boga więc przywiązał się swém pragnącém pociechy i pomocy sercem. Jemu się zwierzał w swój nędzy; jemu swe życzenia wyjawiał. I zesłał mu pożądaną pomoc Najwyższy i Najmocniejszy ze wszystkich!

Rozdział piętnasty.

Niespodziewane szczęście.

W ciężkim pogrążony smutku, siedział Oskar śród igrających swych towarzyszków. Myślał on o błogich dniach przeszłości, zapominając całkiem o miejscu, w którém się znajdował. Dzwonek trwogi z wieży rozległ się, krzyki rozpaczy: „Ogień, pali się!“ wyrwały go z zadumania. Powstał hałas, zamieszanie, krzyki ze wszech stron. Czeladnik rzucił książkę i fajkę; chłopcy skoczyły po drabiny, miotły i miotelki, majstra mając na czele; cała czarna czereda wypadła na ulice i pędziła ku pożarowi.

Wielki tłum ludzi cisnął się, pchał ku domowi, gdzie dym i płomień pożar oznaczały. Sień i schody przepelnione były ratującymi. Obszerność domu, prze-

pych wewnętrzznego urzędzenia, zdradzały wyższy stan i zamożność właściciela.

„Z drogi! z drogi ustępujcie! kominiarzy przepuście! To nieustraszeni ludzie, nielekają się dymu i płomieni. Puście ich!“

Tłum się rozstał, a czarne duchy przemknęły się i bez odetchnięcia zabrały się do uśmierzenia pożaru w pokojach. Śmiało obdzierali zapalone obicia, zasłony i firanki. Bose mając nogi, przeskakiwali ogniście języki; nieważali na żadne niebezpieczeństwo, rzucali się prawie w ogień, naczynia wody na rozhukany żywioł wylewając.

Nareszcie ugaszono po troszę ogień, gdy wtém Oskar, który nie dał się w nieustraszoneści kolegom wyprzedzić, spostrzegł kłęby dymu wydobywające się z jakiegoś pokoju. Pospieszył ku niemu. Spotkał wychodzącego człowieka, wołającego z całej siły:

„Ogień, pali się!“

Drgnął Książę na ten głos; to głos złowrogi Ognika. Nieznana dotąd siła, podała mu myśl uderzenia gwałtownie miotłą w twarz rozbójnika. Nie rozbierając wcale nierozwagi tego czynu i skutków, jakie za sobą pociągnąć może. Zawołał jeszcze głośno:

„Rozbójnik! zabójca! złodziej! trzymajcie! łapajcie!“

Nim się wystraszony Ognik spostrzegł, dopieroż go miotłą, z szalonym pośpiechem, po twarzy znowu okładał. A krzyczał, co miał siły, o pomoc.

W mgnieniu oka złoczyńcę otoczono.

Na czynione zapytania Oskar krótko odpowiedział:

„Rabusem jest i zbójcą!“

Służba się zbiegła i wnioski z tych słów wyprowadziła, że w powszechném zamieszaniu ten człowiek co ukradł. Przeszukano Ognika, i rzeczywiście znaleziono przy nim niektóre kosztowności, należące do właści-

ciela domu, wytrychy, zapalki, siarkę, hupkę. Nie bez przyczyny powzięto podejrzenie, że nikt jak on, wkradłszy się niepojętym sposobem do domu, podpalił go. Ścisłej więc oddano go straży.

Po ugaszeniu ognia, zaprowadzono Ognika do więzienia i majster kominiarz wrócił z swymi ludźmi do domu. Nie można się było ich nazajutrz dobudzić. Podczas śniadania przyszedł bogato ubrany służący, przyniósł 12 butelek wina, 6 dla majstra, 6 dla jego ludzi, wręczył każdemu złoty pieniądz, jako małe wynagrodzenie swego wdzięcznego państwa. Ta wspaniałość spowodowała wszystkich do wielkiej radości. Oskar, jak jeszcze nigdy, został bogatym. Szczególne w sobie uczuł zadowolenie, że te pieniądze własnej winien był pracy. Lecz jego radość zepsuło wezwanie służącego, aby bez zwłoki udał się do jego państwa.

„Pewno dla Ognika!“ pomyślał sobie. „Jeszcze mnie z nim konfrontować będą. Będę znowu na jego ściganie wystawiony, a ze zemsty wyjawi, że jestem Następcą tronu.“ Żeby poznania uniknąć, nie mył się wcale, tylko poszedł czarny jak był.

W ślicznym pokoju, który nie został ogniem uszkodzonym, przyjęła brudnego, zavalanego sadzami kominiarczyka, Dama bardzo ujmującej powierzchowności.

„Chodź tu bliżej! bliżej!“ z miłym uśmiechem wzywała Księcia, który zawstydzony swoim czarnym ubraniem, bojąc się zabrudzić pokoju, stanął przy drzwiach.

Pomaleńku na palcach zbliżył się do sofy, na której ta Pani siedziała. Badawczo patrzyła na chłopca, który pod niepozornym ubiorem nie mógł zupełnie szlachetnego pochodzenia ukryć. Czuł, jak jego sadzami zamurzone lica rumieńcem wstydu zapłonęły, nieśmiało podnosił i spuszczał wielkie niebieskie oczy podczas tego wzajemnego przypatrywania się. Przerwała nako-



niec ta wysokiego rodu Pani milczenie z przyjaznym uśmiechem, mówiąc: „Luby i młody mój przyjacielu! Jestem ci nieskończenie obowiązana. Nietylko za to, że bardzo czynny brałeś udział w ratowaniu mego domu, lecz przyczyniłeś się do odzyskania drogich klejnotów, których mnie złoczyńca byłby pozbawił. Wdzięczność mną powoduje, zadać ci pytanie: co mam dla ciebie uczynić?“

Odezwał się Oskar z godnością, niski robiąc ukłon: „Pani, wypełniłem tylko moją powinność. Ośmielam się tylko najusilniej ją prosić, aby mnie uwolnić chciano od stawienia się do rozpoznania z człowiekiem, który jest zbójcą i rabusiem; najkonieczniejsze powody zniewalają mnie do tój proźby.“

„Zdumiała się ta Pani usłyszawszy odpowiedź Oskara. „Mój przyjacielu!“ zawołała z żywością. „Twój sposób wysłowienia się i ruchy twoje, każą mi się w tobie kogoś innego, jak prostego kominiarczyka domyślać.“

„Ach! najokropniejsza też tylko konieczność przmusiła mię wybrać stan, ze wszystkich stanów dla mnie najokropniejszy.“ Odrzekł Oskar wzdychając. „Ten brud, to towarzystwo, na które jestem wskazany, wszystko mnie odrazą przejmuje; mnie, co nie zawsze w tak niskim żyłem stanie.“

„Jakaż mowa!“ wyrzekła ta Pani po francuzku do jakiegoś Pana, który tymczasem w milczeniu stanął za Oskarem. „Otóż mój kochanku, drogi kamień w ołów oprawny.“

Oskar zmieszał się tak mocno tём pochlebstwem, że to nieuniknęło uwagi tój Pani.

„Może przypadkiem rozumiesz po francuzku?“ zapytała Księcia w tym języku.

„O tak!“ odpowiedział tenże również dobrą francuzczyzną; lubo już dawno niemógłem się ćwiczyć.“

„Bodajnie, jakby na karnawał przebrałeś się, choć go jeszcze nie ma. Bądź tak dobry, pokaż mi się w prawdziwej twojej postaci.“

Zadzwoiła. „Zalecam“, rzekła do wchodzącego kamerdynera, „jak najspieszniej przebrać tego kominiarczyka w ubiór najwykwintniejszy. Gdyby suknie mego zmarłego syna niebyły mu wraz, postarajcie się o wszystko w najbliższym magazynie ubiorów.“

Kamerdyner schylił głowę na znak posłuszeństwa i uszanowania, i wyszedł z Oskarem. Oczyszczono go tak, że nie było na nim ani znaku sady. Uczuł się jak nowonarodzony, gdy się w nowe i stósowniejsze do swego stanu przebrał ubranie. — „Jakże to miła rzecz, świeża bielizna; jeszcze tego nigdy tak nie doznał, jak teraz. Jakże mi lekko i dobrze!“ Tak do siebie przemówił.

I Hrabinie, nowój Księżce dobrodziejce, sprawiło miłą niespodziankę jego ukazanie się.

„Nie podobnyż on bardzo do naszego syna?“ rzekła do męża. „Pozwól mi złożyć na twém czole pocałunek, mój synu! a potem opowiedz nam twoje przygody.“

Zmieształ się niewymownie Księżę na to wezwanie. Miał niezmyśloną ochotę zwierzyć się wszystkiego szlachetnej hrabinie. Lękał się znów nowych przez to dla siebie nieprzyjemności. Cóżby nie był dał za to, gdyby miał Różyczkę przy sobie, aby jój rozsądnych rad zasięgnąć. Nikt mu zapewne za złe nie weźmie, że prawdziwy stan swój zataił, a tylko to z swego życia opowiedział, co mu się zdawało dla niego nieszkodliwém.

Hrabiostwo wielki brało udział w jego opowiadaniu. Zdziwienie i żal uczuli, gdy się dowiedzieli o Oskara i Różyczki okropnym pobycie pomiędzy rozbójnikami, o ich nagłym rozłączeniu się, jak i o ściganiu zaciętém

Ognika. Zakończył tém, co go do kominiarzy sprowadziło i co tam wycierpiał.

„Odtąd zostaniesz z nami, nieprawdaż? Daj mi na to rękę.“ Rzekła Hrabina do niego ze łzą wzruszenia w pięknych swych oczach.

Z radością podał Oskar swą rękę Hrabinie.

„Uwolnienie od majstra twego wyrobię sobie, i Fizyka przekonam, że nie z złej woli go opuściłeś;“ mówiła Hrabina. „Ponieważ mieszkanie tu nasze ogniem zniszczone, wyjedziemy do dóbr naszych podczas jego uporządkowania. Dla ciebie to, Henryku, będzie bardzo zdrowo; i unikniemy tym sposobem miejskiego gadania.“

Nazajutrz rano wyjechali wszyscy; Oskar nie posiadał się z radości, siedząc znowu w pięknym pojeździe czterema cudnymi karemi końmi zaprzężonym. Wielu zazdrościło biédnemu kominiarczykowi jego losu; — ktoby się spodziewał, że Hrabia go za syna przybierze!

Rozdział szesnasty.

Znalezienie się.

W tym samym dniu, kiedy Oskar w towarzystwie hrabioskiej pary miasto opuszczał, otworzyły się skrzypiące wrota chłopskiego podwórka; ziewający parobek wsiadł na wóz pełen gnoju i wyjechał. W tym samym czasie dwa dziewczęta przeszły podwórko i weszły do obory. Mała dziewczynka w nędzném odzieniu także się we drzwiach chaty ukazała; obéjrzała się, poszła otworzyć niskiego budyneczku niższe jeszcze drzwi.

W wnętrzu jego oddawna gęsi i kaczek wrzeszczenie się rozlegało. Krzycząc, podlatując, cisnąc się, czubiąc się, pospieszała skrzydlata czereda na dwór. Dziecko zdjęło bat z gwoździa, rozwinęło go, i powierzony sobie drobiazg zamierzało wypędzić w pole; przed dom wyszła jakaś brzydka, czarna, stara kobieta; wyciągnęła kościstą rękę z kawałem czarnego chleba, wołając głosem ochrypłym: „Rozyno! niepotrzebujesz powracać do domu na południe. A na wieczór zjesz swoją polówkę z korbala.“

Dziewczynka odebrała chleb; schowała ręce pod fartuszek, bo poranek był dosyć chłodny, i popędziła swoją gromadkę na błonie, przedzielone na dwie połowy błękitną wodą małej rzeczki. Kaczki hurmem się na wodę wtoczyły; gęsi gęgając trawą się posilały, zostawiając sobie przyjemność kąpieli na później. Dziewczynka usiadła na kamieniu nade drogą stojącym, wyjęła z kieszonki pończochę zaczęta, rozwinęła kłębek i pilnie zaczęła pracować. Nie szła jęj ta robota, bo palce miała od zimna stęzałe. I w nogi jęj było w cienkich i podartych pończochach zimno. Opuszczała często swoje siedzenie i prędko chodziła, aby się rozgrzać. Smutnie jęj w tęg nudnęg samotnośc godziny upływały. Późnęg ożywiła się droga przechodniami, jeźdzcami i rozmaitemi pojazdami.

Dwóch rzemieślników zatrzymało się niedaleko gęsiarki, nakładali fajki, zapalali i gadali między sobą: „Możecie się na to spuścieg; on musi niedługo przejeźdzać. Na granicy mają się zjechać. Król i Królowa chcą się przekonać, czy ten Ksiązę rzeczywiście jest ich synem. Bo jeżeli tak jest, to bez dobycia jednęg szabli odbierzemy nasze prowincye. Toć naturalnie, że jedynaka serdecznie kocha, i dałby nie wiem co, żeby go tylko odzyskał. Jak się dowiedział, że syn

jego do niewoli wzięty, porzucił wszystko, nocą i dniem spiesząc do swego kraju.“

Dziewczynka bardzo się ciekawie przysłuchiwała. Żałowała niezmiernie, że już odchodzili.

Po półgodzinnéj przerwie kłęby kurzawy wzniosły się na drodze. Wojownicy w błyszczących zbrojach się ukazali; karetą sześciokonna jechała za nimi; a za karetą znowu wojskowi jechali.

Na ten widok serduszko małej gęsiarki zaczęło bić gwałtownie. Stała na kamieniu, pilnie się w karetę wpatrując. Nagle poznawszy siedzące w niej osoby, krzyknęła:

„Albin!“ drżącym od radości głosem, wyciągając obadwa ku karecie ramiona.

W pojeździe imie Różyczki wymówiono głośno; lecz pojazd lotem błyskawicy przeleciał.

Biędną dziewczynkę, w najżywszej radości będącą, opanował największy żal za oddalającą się karetą; gorzko zapłakała, ukrywając twarz w fartuszek. Zapomniała o drobiazgu, o wszystkiém. Dopiero, kiedy się mnóstwo zbiegło ludzi, obadwa brzegi rzeczki obstąpili, na siebie wołali, długie zapuszczając w spokojnych nurtach rzeczki drągi, przypomniawszy sobie swoją powinność. Pobiegnęła więc jak najprędzej ku wodzie, lękając się, aby ludzie jęj gromadki nie rozpędzili.

„Tu, tu,“ zawołało dwóch ludzi tuż przy moście stojących, przez który droga prowadziła. Wszyscy się do nich zbiegli, również i dziewczynka. Żelaznemi rybackimi hakami wyciągnęli ciało kobiety na trawę.

„Patrzcie, to ta stara czarownica!“ mówili jedni, „co to nam wczoraj uciekła i w wodę wskoczyła. Dobrze zrobiła, szkoda by było na jęj gardło powroza. Szczęście dla całego kraju, że nareszcie tę niegodziwą

bandę wytropiono. Podobno jakiś kominiarczyk wydał herszta i jego towarzyszków.

Wielkie koło utworzyło się naokoło trupa, który na plecy położono, tak, że starą szkaradną twarz tej kobiety można było dokładnie widzieć.

„Stara Ferlowa!“ załamując ręce na głowę, zawołała gęsiarka z podziwienia i przerażenia.

„Stara Ferlowa?“ pytał się dziewczynki obok niej stojący człowiek. „Czyś to ty tę starą bestyą znała tak dobrze?“

Dziewczynka nieuważała tego pytania, ciągle wpatrując się w samobójczynię. Wtém raptem wzleciały gęsi i kaczki, wrzeszcząc nielitościwie; a wśród tego wrzasku i głuchego odgłosu uderzeń skrzydeł, dało się słyszeć szczekanie psa.

Dziewczęciu krzyk rozpaczny wyrwał się z piersi, widząc rozlatujące się na wszystkie strony i gęsi i kaczki przed wielkim wyłłem. Dwie już zagryzł. Biędna dziewczynka rzuciła się z rzewnym płaczem na nieżywe zwierzątko.

Wzruszeni tym widokiem ludzie, kijami odpędzili psa. Nieszczęście już się stało i nie było go można odwrócić. Naprózno mała dziewczynka rozgrzewała o siebie małe gąski, nic nie pomogło; nie wróciły już do życia. Jedno już było zdechło, a drugie jeszcze kilka razy chwyciło dziobkiem powietrza, spojrzało bolesnym oczkiem na swoją dozórczynię i — już było po nim. Jego zdechnięcie wydarło znowu okrzyk żalu z piersi biędnej dziewczynki. „Moje gąski, moje gąszczki! o, co to ze mną się stanie! Ach! jakież ja bicie dostanę! O, ja nieszczęśliwa, ja opuszczona sierota!“ Łzy jój obfite spływały na skrwawione ofiary, a ręce jój drżące bezustannie głaskały nieruchome już gąsięta.

Tymczasem wszyscy tam stojący ludzie, przysłuchując się żalosnym skargom dzieciny, złorzeczyli bogaczom.

„Ho, niechby no choć ogon jakiego psa lub kota wychylił się ze wsi, zarazby Panowie albo ich strzelcy na miéjscu je ubili. Ale jak ich psy ludzi i zwierzęta pogryzą, nie piśnie nikt ani słowa! Jak téż to niesprawiedliwie dzieje się na tym świecie!“

Gęsiarka nic ze żalu nie słyszała, nawet tego, że czterokonny pojazd zatrzymał się na drodze i że strzelec zeszedłszy z tylnego siedzenia, pytał się ludzi:

„Jak wiele szkoda może wynosić, którą pies zrządził; moi państwo chcą wszystko wynagrodzić.“

„To musicie się téj oto tu gęsiarki zapytać“, odpowiedzieli ludzie; „nas ten drobiazg nic nie obchodzi.“

„Ile chcesz za zagryzione gęsi?“ rzekł strzelec, obracając się do gęsiarki.

Dziewczynka podniosła łzami zasłże oczy i łkając odpowiedziała: „Ach, chociaż wy chcecie te gęsi zapłacić, to i tak dostanę bicie, a jeszcze jakie bicie!“

„Ja ci dam talara, to potrójną będziesz miała zapłatę.“

„A choćbyście mi i pięć dali!“ mówiła dziecina, „to mnie i tak obiją; moja gospodyni okropnie zła.“

Strzelec wrócił do pojazdu i oświadczył, że dziewczę bardzo jest uparte, niechcąc niczém być zadowolioném.

„Wołaj mi tu to dziecko!“ rozkazała Hrabina. Gwałtem poprowadził sługa płaczącą gęsiarkę do swéj Pani.

„Uspokój się moje dziecko!“ rzekła z litością Hrabina; „my potrafimy twoją gospodynię zaspokoić.“

Dziewczynka podniosła oczy, zadziwienie trudne do opisania w jéj się twarzy wybiło. Lecz nim słowo wyrzec mogła, Oskar wyskoczył z pojazdu, rzucił się

jój na szyję, z największą radością wołając: „Różyczka! o nieba! Różyczko! czy to ty istotnie?”

Całował ją znowu, ścisnął ją, mimo jój biédnego ubioru; jedném słowem, pełen był radości, odzyskawszy swoją towarzyszkę nieszczęść i przyjaciółkę.

Łzy boleści Różyczki zamieniły się w łzy radości. Oparła główkę na ramieniu Oskara, mówiąc: „Przed chwilą widziałam Albina, a tam leży nieżywa na łące stara Ferlowa. Utopiła się, a całą bandę wyłapano.”

„Teraz się już nierozłączymy, Różyczko, nie prawda?”

„A jak ja na to nie pozwolę?” odezwała się Hrabina z udaną surowością.

„O wspaniałomyślna Hrabino!” odrzekł Oskar; to moja najmiliejsza siostrzyczka, o której Pani tyle opowiadałem, a która stokroć lepsza i rozsądniejsza jest niż ja, i która nie jeden raz życie mi ocaliła.”

„To być może”, odpowiedziała Hrabina, „ale ja mam dosyć, że już jedno dziecko przybrałam sobie.”

„Ach, przyjm i Różyczkę do siebie!” błagał Oskar. „Z niéj wiele więcéj pociechy będziesz Pani miała niż ze mnie. Pozwól Pani, abysmy choć jój sługami być mogli.”

„Cóż mi po takich małych sługach?” odpowiedziała Hrabina; „musiałabym Różyczkę za gęsiarkę, a ciebie za owczarka przyjąć. Jesteścież kontenci? Ale natenczas, Henryku, musiałbyś wyrzec się tych pięknych sukien, a miéjsce za powozem zabrać.”

„Jak najchętniej, pani Hrabino!” zawołał radośnie Oskar, ścisnąjąc znowu Różyczkę.

Hrabina obtarła łzę wzruszenia i rzekła:

„Dosyć tego udawania! Oboje będziecie meimi dziećmi; wsiądźcie, wsiądźcie tu ze mną!”

Różyczka ociągała się, oglądając się za swoją skrzydlatą gromadką.

„Rozumiem cię, moja córko! Mój strzelec wszystko załatwi i od gospodyni cię uwolni.“ Rzekła Hrabina.

Wsiadła Różyczka uszczęśliwiona do pojazdu z Oskarem; wieśniacy osłupieli z podziwu, a potem wychwalali bez końca dobroć państwa. Dzieci zaś wzajemnie opowiadały sobie swoje przygody od czasu swego rozłączenia.

„Moja historia jest krótką“, rzekła Różyczka, wysłuchawszy długiego Oskara opowiadania. „Kiedyś ze siwką zniknął, ukryłam się pełna bojaźni i wstydu w słomie na wozie chłopskim będąc. Gdy mnie właściciel po swoim powrocie z miasta odkrył, ofiarowałam mu moje usługi. Zostałam gęsiarką, wiele wycierpiałam od mojej gospodyni, bo była bardzo zła; nieraz mi na myśl przyszło uciekać, ale jak i dokąd?“

Długo i wiele dzieci jeszcze z sobą rozmawiały. Podróż nie była długą; tego dnia ujrzeli przed sobą zamek hrabiostwa w uroczej leżącej okolicy. Dzieci upojone roskoszą doznanego szczęścia, podczas pobytu w tym pysznym zamku, starały się swoim dobroczyńcom w każdej chwili swą wdzięczność okazywać.

Rozdział siedemnasty.

U k ł a d y.

Tymczasem Albin zbliżał się do granicy. Strach mimowolny go ogarniał. Miał się stawić przed rodzicami Oskara i mienić się ich synem. Lubo terazniejszy sposób jego życia bardzo był błogim, drżał myśląc

o okropnym oszukaństwie, którego mu się kazano dopuścić. Naprózno gadał mu stryj, że w najgorszym razie, będzie tém, czém był; że oszukaństwo służyć tylko miało na ratunek Oskara, a stąd nie mogło być potępienia godnem. Pomimo tego tłumaczenia Albin był bardzo niespokojny. Stryj go nauczał, po czém mógł rodziców Oskara rozpoznać i jak się miał względem nich brać. Dojechali do miasta, w którym Oskar służył u Fyzyka. Tu dowiedziano się, że złapano bandę rabusiów; u naczelnika znaleziono dwa kosztowne wizerunki; domyślano się, że to były portrety pary królewskiej z sąsiedniego kraju. Szambelan Frimont wymagał, aby je towarzyszącemu im Generałowi wręczono; ten pokazał je Albina stryjowi.

„O!“ zawołał tenże spojrzawszy na nie; „to są prawdziwie rodzice Oskara. Uważaj Pan, jakie uderzające podobieństwo z Najjaśniejszym Panem. Te same usta, takie same niebieskie oczy, włosy; zupełnie podobien. Niechże kto poważy się mówić, że Jego królewiczo-wska Mość nie jest prawdziwym Oskarem! Panie Generale! Racz nie wypuszczać z rąk twoich w terazniejszych okolicznościach, tego najoczywistszego dowodu prawdziwości Księcia.“

„Nabierz odwagi!“ mówił Szambelan do swego bratanka, gdy sam na sam z nim został. „Wygraliśmy! Odegraj tylko dobrze swoją rolę. Nie masz wątpliwości, że ci zbójcy uciekającego Księcia z ogrodowym Czosnkiem złapali i zabili. Inaczéjby go gdzie kto przecie był widział. Król niema już dzieci, państwo zostałoby osierocone, gdyby on umarł. Jakieby to powstało zamieszanie, kłótnie po jego śmierci! Mogłyby krwawe wojny o Następcę tronu się rozpocząć. Jakieżby to nieszczęście spadło na naszą drogą ojczyznę i jej mieszkańców! Temu wszystkiemu ty mozesz zapobiedz.

W takim przypadku twoje udawanie nie będzie już oszukaństwem, lecz stanie się dla ciebie najświętszym obowiązkiem. Oszczędzisz królestwu okropnego żalu po stracie jedyne go dziecka; wybawisz ojczyznę od nieszczęścia; położysz kamień węgielny pod twoje i twojej całej rodziny szczęście. Jakże się twoja kochana Matka cieszyć będzie z twego wyniesienia! a choć się ciebie publicznie wyprzec będzie musiała, ty ją bogactwem obdarzysz, a ona czuć się będzie szczęśliwą.“

Takiego rodzaju mowami usiłował stryj Albina sumienie w nim uspić.

Im bliższą jednak godzina wspólnego się ujrzenia była, tym mocniej biło Albina serce.

„Wbij sobie przedewszystki em rysy nowych twych rodziców w pamięć“, ostrzegł Szambelan. „Tych, którzy ci się przedstawiać będą, nieuznasz za rodziców, jeżeli nie spostrzeżesz podobieństwa ich z portretami. Bo i nasi przeciwnicy mogliby się tego podstępu chytrzyć, aby prawdę odkryć.“

Miejsce wspólnego spotkania było na samej granicy w przepysznym namiocie. Po obu stronach ustawiła się równa liczba osób, a oprócz koniecznej przybocznej straży, nie byli inni wojownicy przytomni widzeniu się pary królewskiej ze synem. Ojciec Oskara oświadczył, iż: jak tylko mu syn zostanie wydany, on zwróci zabrane prowincye. W przeciwnym razie wszelkie układy zerwane zostaną, a przemoc broni tylko rozstrzygać będzie losy obu narodów.

Nim Albin ze stryjem i nieodstępującym ich Generałem do pojazdu wsiadł w celu udania się do rodziców, wychylił za radą stryja kielich wina mocnego, aby śmiało wystąpił w swojej sprawie. Mimo to stawał się bledszym i coraz bledszym, im bardziej do namiotu się zbliżał. Pojazd zatrzymał się. Skoczyli lo-

kaje, otworzyli drzwiczki, pomogli Księżciu wysieść. Straż zabębniła, broń prezentowała i przepuściła Albina. Namiotu wewnątrz podobnym było do strojnej sali; tam półkole tworząc oczekiwało kilkadziesiąt osób na Księżcia. Zaćmiło się Albinowi w oczach, gdy, wszedłszy, spostrzegł uwagę wszystkich na siebie zwróconą. Zbliżał się Albin niepewnym krokiem ku stojącym; wysoki, pięknie ubrany mężczyzna, mając na piersi zawieszonych kilka ozdobnych orderów, wystąpił i do Albina się zbliżył.

„Chodź mój synu, niech cię do serca mego przycisnę!“ wymówił i rozszerzył ramiona, aby go niemi objąć.

Albin spojrział na niego niedowierzająco, spuścił ręce już ku niemu wzniesione. Niemy, a wyprężony, pomięszanym wzrokiem po otaczających wodził.

„Jakto mój synu!“ mówił ów mężczyzna z wyrzutem, „nie poznajesz to twego Ojca?“

„Pan nie jesteś moim Ojcem;“ odpowiedział Albin. Dodawszy sobie odwagi, zwrócił się do osoby w niepozornym ubiorze stojącej wśród innych, mówiąc: „Ten jest moim Ojcem!“

„Tak! w istocie, ja twym Ojcem jestem“, rzekł zagadniony. „Niech cię uściskam, mój synu! dawno niewidziany, a nieskończenie kochany!“ Król, (bo on był nim), ucałował serdecznie Albina, któremu łzy wzruszenia, bojaźni i nadziei ulgę w jego męczarni przyniosły; Król je łzami synowskimi być mienił. Były one zaś, (możemy to jeszcze na pochwałę Albina nadmienić), właściwie łzami wstydu.

„Widzisz, kochany hrabio Orbinie!“ rzekł Król do mężczyzny, poprzednio jego osobę przedstawiającego, „głos krwi nie da się oszukać. Dziecko nawet po najdłuższym niewidzeniu Ojca, poznaje go.“

Na znak Króla rozstąpiono się, z głębi namiotu wystąpiło sześć równo ubranych kobiet, z których jedna uderzając miała podobieństwo z Królem.

„Teraz, mój synu!“ rzekł Król do Albina, „która z tych Dam jest Matką twoją?“

To wcale nie było dla niego trudnym do rozpoznania. Bo jedną z nich miotano gwałtowne wzruszenie, kolor jęj twarzy nagle się zmieniał, mocne drżenie jęj członków aż nadto było widocznym. Do nięj przystąpił Albin, a ujmując jęj rękę, wzruszonym od trwogi głosem wyrzekł: „Matko moja!“

Nie wymówiwszy ani słowa Królowa, ucałowała go, poczem oddaliła go od siebie, aby mu się lepiej przypatrzeć.

„Jakże?“ zapytał Król, przybliżając się, „jestże on naszym synem? rysy jego czy zostały dawnym podobne?“

„Podobne?“ powtórzyła Królowa. „Tak; ale bardzo oziębłym, bardzo oziębłym znajduję naszego syna!“

„Wasza królewska Mość niepowinnaby się dziwić, jeżli raczysz położenie Księcia rozważyć;“ wtrącił szambelan Frimont; „położenie niestósowne oddaniu się czułości. Długi rozdział, niebezpieczeństwa przebyte, niewola, tyle świadków, których przytomność przeistoczyła widzenie się jego z rodzicami w rodzaj urzędowego przedstawienia, wpływają bez wątpienia niekorzystnie na Jego królewiczowską Mość.“

„Musimy tę rzecz gruntownie wybadać“; odezwał się Król. „Jest ona bardzo ważną i wymaga najstaranniejszego roztrząśnienia. Moi Panowie!“ rzekł do otaczających go. „Macieź wy przekonanie, że ten młody człowiek jest moim synem? Następcą tronu, Księciem Oskarem?“

Ludzie pokoju odpowiedzieli: „Tak jest Najjaśniejszy Panie.“ Ludzie wojnę miłujący odrzekli: „Nie!“

Król zawahał się. „Jakże“, rzekł do podobnej do siebie Damy, „jakże siostró sądzisz, jestli on prawdziwym Oskarem? Co na to mówisz, hrabio Orbinie?“

„Niewidzieliśmy tak dawno księcia Oskara“, rzekli prawie razem hrabiostwo, „że nie możemy właściwie nic świadczyć. Gdybyśmy przeczyli, uważanoby nas za stronników nieprzychylnych Waszej królewskiej Mości.

„Kaźcie!“ zawołał Król zniechęcony, „służbę Księcia po jednym wpuszczając.“

Stało się podług jego rozkazu, lecz każdy ze sług wyznał, iż to nie jest książę Oskar, lecz jego współtowarzysz Albin Frimont.

„Pozwól mi Wasza królewska Mość“, mówił teraz pan szambelan Frimont, „zadać kilka pytań tym ludziom. „Kto“, zawołał gwałtownie na sługi, „zapomniał tak dalece Księcia, że za zbliżeniem się nieprzyjaciół rzucił się do rabunku w zamku? Oto wy nędznicy. Możecie się wypierać tego, żeście widzieli Księcia w towarzystwie mojem i jego Ochmistrzów siadającego do pojazdu? Czyście mu nie towarzyszyli, aż póki widok nieprzyjaciela was, podli najemnicy! do ohydnej ucieczki zniewolił? I wasze zeznanie pochodzące li z bojaźni miałożby mieć jaką wartość?“

Słudzy zamilkli, jakby piorunem rażeni, na to oskarżenie. Król rzucając gniewny na nich wzrok, dał im znak oddalenia się.

Wprowadzono wielkiego ochmistrza, pułkownika Villemain i ochmistrza Stella. Zasepione ich oblicza niewiele co dobrego zwiastowały.

„Powtórzcie wasze zeznanie krótko i zwięźle“; rozkazał Król zachmurzony.

„Aby nieprzyjaciela zwiesić i Księcia uratować“, opowiadali oni, „ubraliśmy Albina Frimont w mundur

Księcia, usiedliśmy z nim do pojazdu, który w samą rzecz niedługo został nieprzyjacielem otoczony.“

„Którego zbliżenia Panowie nieczekali“, przerwał im Szambelan z urąganiem, „lecz drogie swoje osoby spiesznym oddaleniem się ocalili.“

Pułkownik i Stell odpowiedzieli na to szyderstwo pełnym wzgardy i boleści wzrokiem, i tak dalej mówili: „Tymczasem książę Oskar uciekał z ogrodowym Czoskiem, który znając dokładnie drogi, obiecał święcie powierzony mu skarb w pewne zaprowadzić miejsce.“

„Lecz jak widać nie zdołał tego uczynić“, przerwał znowu stryj Albina. „Jakże się to stało, że wy, moi Panowie, którym Jego królewska Mość w swą nieskończoną łasce, najwyższe dobro całego królestwa powierzył, a wyście je, zamiast życia własnego poświęceniem strzedz i bronić, prostemu ogrodnikowi powierzyli? Nie chwając się, niebyłemże ja jedyny, który w czasie niebezpieczeństwa przy osobie Następcy tronu zostałem, i z nim niewolę dzieliłem? To zaświadczyć może pan Generał.“

„Honorem moim mogę to potwierdzić“, odpowiedział nieprzyjacielski Generał. „Ja byłem na czele wojska, które napad wykonało, i byłem tak szczęśliwy, zabrać Jego królewiczowską Mość w niewolę, jako dopiero pan Frimont zeznał.“

„A gdzie jest ogrodowy Czosnek?“ rzekł Szambelan, „gdzie jest prawdziwy Książę, Następca tronu, jeżeli ten nim nie jest?“

„Ach, o Boże! gdzie moja córka, drogi bracie!“ nagle zawołała łzami zalana królewska siostra, Dama w orszaku Królowej będąca, a do Króla tak podobna. „Córka moja, którąś temu samemu człowiekowi powierzył? Doznajesz teraz boleści pochodzącej ze straty jedyne go dziecka, o ulituj się więc!“

„Milcz!“ zawołał rozgniewany Król; a małżonek jég, hrabia Orbin, aby wybuchający gniew Króla uśmierzyć, rzekł: „Panie Szambelanie, jeśli wątpisz w zeznanie tamtych, którzy Następcy tronu dodanymi byli: to i my zniewoleni jesteśmy jemu niewierzyć. Jesteś Pan stryjem Albina; na korzyść więc jego wypadłoby uznanie jego synowca za Księcia. Również niedostateczne jest zaręczenie pana Generała co do prawdziwości Księcia. Bo on, jego Monarcha, jego ojczyzna, skorzystać tylko z tego mogą.“

Ojciec Oskara, podczas tego badania w milczeniu się przechadzał; przystąpił do mniemanego Księcia, mówiąc: „Cóż mi radzisz? Mamże za ciebie pięć piękných prowincyi oddać i tém ciebie uwolnić; czyli téż wojnę wypowiedzieć, aby rozstrzygnęła naszą wątpliwość?“

„O mój Ojcze!“ odezwał się Albin błagającym głosem, „nie, niewypowiadaj wojny! raczój pół królestwa oddaj twego, jakbyś wojnę miał rozpoczynać.“

„Byłbym się wzniośléjszój po moim synu odpowiedzi spodziewał“, rzekł Król, z niechęcią się od Albina odwracając.

„Spróbujmy jeszcze jednego środka“, odezwała się półgłosem Królowa, „aby prawdy się dowiedzieć.“ Na znak dany zbliżyła się jeszcze młoda i przystojna kobieta do mniemanego Księcia.

„Znasz ją?“ zapytała Królowa Albina z najżywszą niespokojnością.

Albin był w trudném do opisanía położeniu. Spoglądał to na Królową, to na nieznaną sobie osobę. Nareszcie ta, nieczekając dłużej, rzekła: „Oskarze, Oskarze, niepoznałeś to twojój mamki?“

„Ach Małgorzata!“ zawołał Albin uwolniony od nieznośnego ciężaru niecierpliwością mamki. „Jak się

masz; cieszę się, że cię oglądam.“ Stryj jego niezaniechał mu w swojej przezorności nawet i o karmicielce Księcia wspomnieć. Lecz ta im dłużej się w Albina wpatrywała, z tém większém niedowierzaniem głową kiwała.

„Czy mój syn“, zapytał król Małgorzaty, „nie miał jakiego znaku na sobie, po którymby go można poznać?“

„Żadnego, Najjaśniejszy Panie!“ odrzekła kobieta. „Ale jabym może znalazła sposób, po którymbyśm wśród tysiąca prawdziwego Księcia poznała.“

„A toby był?“ zapytała Królowa. Mamka stłumionym głosem kilka słów do Królowej rzekła; ta zezwolenia znak dała, mówiąc, „i to dobry sposób; nikt cię tu nie ma ochoty wyśmiać.“

Małgorzata obróciła się do Albina, mówiąc: „Uważaj Książę!“ Zaczęła nucić następującą piosnkę:

Gwiazdka zeszła i pyta mnie skrycie:

Cóż to jest — — — —

Umilkła, uważnie się wpatrując w Albina. Lecz ten stał jak wryty, niewiedział czy się śmiać, czy miał płakać.

Małgorzata czekała jeszcze dobrą chwilę, poczem pewnym wyrzekła głosem te słowa: „Nie! to nie jest książkę Oskar!“

„To przecież“, odezwał się stryj Albina; lecz Król przerwał mu raptem: „Dosyć téj komedyi! Moja cierpliwość się wyczerpała. Widzę z tego wszystkiego, że ten oszust nie może być moim synem. A gdyby nim był: komuż jeźli nie tobie Generale, przypisaćby należało wszelkie ztąd wynikłe nieszczęścia?! rzekł Król, zwróciwszy swą mowę do Generała nieprzyjaciół. „Tak“, mówił dalej, zapalając się i nogą tupnąwszy, „nie spoglądaj na mnie z takim zadziwieniem. Całemu temu diabelstwu Pan winienes. Jakes się mógł puszczać na

podłe zabieranie ludzi? Czyś nie lękał się mego oręża? Ha! okropną zemstę na tobie wyrzucić będę usiłował, rozszarpie cię w sztuki, zdepcę, a twego Króla.....“

„Najjaśniejszy Panie!“ odezwał się Generał obrażony, „przybyłem tu nie po to, abys obelgi na mego Pana i na mnie rzucał; lecz honorowy zawrzeć układ. Monarcha mój znajduje się w korzystnym położeniu, potrafi się na tém stanowisku utrzymać. Niechcesz Najjaśniejszy Panie na nasze warunki zezwolić, pospiesz to memu Królowi oznajmić.“

„Powiedz mu zarazem“, zawołał Król z zapalczywością, „że go za jego zdradę i przeniwierzenie się ukarzę. Nigdy się z podobnym jak on Księciem na równi nie stawię. Miecz moim piórem, krew atramentem; temi warunki pokoju podyktuję!“

„Jak się Najjaśniejszemu Panu podoba“, odrzekł zimno nieprzyjacielski oficer; „a zatem wojna!“

„Tak, wojna! wojna!“ ze wszech stron zawołano.

Drżąc z bojaźni Albin, przyczepił się do stryja, który niefortunnym rzeczy obrotem strwożony, za pospiesznie wychodzącym Generałem do pojazdu dążył. Tak znów Albin samowolności Panującego oddany został.

Rozdział ośmnasty.

Niebezpieczeństwa.

Herabia Kontarra, w którego dobrach Oskar i Różycka dnie swobodnie przepędzali, był sobie spokojnym, skromnym człowiekiem. Sztuczne i niewolnicze życie dworskie nie miało dla niego powabu, a bogatym

będąc, wolał żyć podług swego upodobania. Rząd domu zdał zupełnie staraniom swojej małżonki, bardzo wykształconej osoby. On zaś bez przeszkody oddawał się ulubionym sobie sztukom pięknym i naukom. Książki, obrazy, zbiory różne, dostatecznie zastępowały mu brak świetnych towarzystw i zabaw. Najszczytniejszą rozkoszą téj szlachetnie myślącej pary było zajmowanie się kształceniem jedynego syna, którego śmierć przedwczesna kirem żalobnym ich życie przysłoniła. Oskar i Różyczka niezmyśloną wdzięcznością starali się żal swoich dobroczyńców choć w części ukoić.

Gdy raz sam na sam byli, rzekł Oskar: „Różyczko! nieodkryjemyż to naszym dobroczyńcom naszej tajemnicy? Już ona mi zaczyna ciążyć. Lecz bez twojej woli nie nie myślę robić; powiedz, co radzisz?”

„Jakież mnie zaszczyt spotyka!“ odpowiedziała Różyczka, ujęta pochlebstwem Oskara; „Następca tronu możnego kraju raczy mnie do tajnej rady wzywać. Lecz muszę ci otwarcie się przyznać, że stałam się w towarzystwie mych gąsek i kaczek bardzo dziwaczną. Nie wiem, co ci mam radzić. Jestto rzecz zastanowienia godna. Tak nam tu dobrze, kto wie, czy odkryciem naszego stanu nie pogorszymy naszego losu. Poczekajmy jeszcze. Może przyjaźniejsza nam się do tego pora nadarzy.“

Dziwić nam się nie należy, że te dzieci nie pragnęły już tak bardzo wracać do domu, i do swoich. Oboje długi czas z rodzicami rozłączeni, przyzwyczaili się do tego rozdziału, teraz zwłaszcza, kiedy używali prawie nigdy przedtém niedoznawanej wolności. Nie dziw więc, że niechcieli się terażniejszego szczęścia tak łatwo pozbawić. Lecz szczęście człowieka, jakże to rzecz znikoma!

„Wojna! wojna!“ zewsząd wołano. Wojsko prze-

chodziło, szanice sypano, wszystkich do broni zdatnych powołano. Wkrótce rozeszła się okropna wieść, że niepowstrzymany nieprzyjaciel w głąb' kraju kroczy, wszystko mieczem i ogniem niszcząc. Wojna z całą swoją okropnością zbliżała się do dóbr hrabi Kontarra. Kto mógł, ratował się przed rozbestwionym nieprzyjacielem ucieczką do twierdzy. Cisnęli się wszyscy do niej w dzikim nieładzie: Król, radzcy jego, dwór, najznakomitsze w kraju osoby, resztki niedobitków, mieszczanie i lud wiejski. Domy wszystkie przepelnione ludźmi zostały.

I hrabia Kontarra ze swoimi mieścił się między zbiegami. Zaledwie przybył, a już twierdzę nieprzyjaciel ze wszech stron opasał. Oblężeni z wałów patrzeli na to, jak ich własnych ludzi tysiącami spędzano do sypania wysokich szanców. Aby temu zapobiedz, ujrzeni się w okrutnej konieczności, dawać na tych nieszczęśliwych z dział ognia. Wśród błysku i huku wyrzucały te śmierci narzędzia mordercze ze siebie kule. Rycząc zataczały się one z zagłuszającym łoskotem po ulicach pełnych ludu, napelniając wszystkie umysły trwogą i zgrozą.

Zewnątrz ludzi co niemiara, sto padło, sto innych stawało. Próżne były usiłowania oblężonych. Krwią ich własnych ziomków zroszone, wznosiły się szanice po szanicach na okół forticy. Czarne armat paszcze wymierzono ku niej. Z zimną krwią determinacyi nieustraszone sapersy wczółgały się pod gradem kul, pod mury twierdzy, by wyłom zrobić.

Tak groźnie rzeczy stały, gdy nieprzyjacielski oficer z trębaczem ukazał się przed fortecą, wzywając załogę do poddania się.

Król Roderyk kazał mu dać następującą odpowiedź:

„Oddamy Księcia zabranego w niewolę, jeżeli nieprzyjaciel kraj niezwłocznie opuści.“

Nieprzyjaciel nieprzyjaciel warunku, albowiem jeniec nie był rzeczywistym Księciem. Wymagał poddania się, w przeciwnym razie szturm przypuszczeniem groził.

„A więc“, odpowiedziano z twierdzy, „niechże Księzę Oskar piérwszy trupem padnie, po którym nieprzyjaciel do fortecy się wedrze.“

Odebrawszy tę odpowiedź, oficer cofnął się.

W straszném oczekiwaniu każdy ostatecznego postanowienia przeciwnika wyglądał. Niedługo trwała niepewność. Zaledwie godzina upłynęła, oblegający rozpoczęli wściekły ogień, wymierzony na mury fortecy. Powstał powszechny popłoch. Kobiety przepełniały powietrze krzykami rozpacz; dzieci płakały; starcy drżeli; mężczyźni sposobili się odważnie do śmierci.

Król wydał następującą odezwę do swego ludu:

„Żołnierze i obywatele!“

„Niezechcecie zapewne poddać się nieprzyjacielowi, który własnego jedynego nieoszczędza dziecka. Coby za los was u niego spotkał? Pokażcie mu, że umiecie zwyciężyć lub umrzeć. Jeszcze nieprzyjaciel nie dostał się na mury nasze, jeszcze miasta nieopanował. Niechaj krok każdy strumieniem swój krwi okupuje. Niech dom każdy, mur, ulica, nawet okno każde staje się dla niego twierdzą niedobytą, a siła jego stanie się bezwładną. Starcy, kobiety i dzieci niech nam w obrobie pomagają; kamienie, wodę wrzącą, smołę rozpaloną na szturmujących wylewają. Ja sam stanę na waszém czele i do pełnej zwycięstwa chwały poprowadzę. Naszém hasłem niechaj będzie: zwycięstwo lub śmierć! Kto o poddaniu się wspomni, jako zdrajca śmiercią ukaranym zostanie.

Arno Roderyk, król Boliwii.“

Z męstwem rozpaczy, pospieszyli mieszkańcy na wezwanie Króla. Bruk zrujnowano, kamienie na góry domów wnoszono, ulice przekopami, nagromadzonemi sprzętami, belkami, kamieniami barykadowano, okna pięt dolnych, drzwi domów zatarasowano.

I dom, który hrabia Kontarra zajął, również fortyfikowano. Podczas tego zamieszania mówił hrabia Kontarra do swój małżonki i do przysłuchujących się dzieci: „Do jakich to niepoliczonych nieszczęść jeden człowiek przyczynić się może! Całej téj niedoli jedno dziecko winno, mały chłopczyk. Król nasz dopuścił się czynu nierozważnego, nawet niesprawiedliwego, zabierając w niewolę małego Księcia; krok ten, jak widzimy, okropne za sobą pociągnął skutki.“

Po tych słowach wyszedł, aby sługi w ich pracy dojrzeć.

Oskar pociągnął na ustron Różyczkę, mówiąc tajemniczo: „Ach, Boże! co tu począć? mamże powiedzieć, czy nie? Jak powiem, a rozgniewany Król na pierwszy ogień każe mię postawić? O poradź droga Różyczko!“

Równie jak Oskar strwożona Różyczka odpowiedziała: „To tu trudna rada. Odkrycie twoje może tak dobrze stać się podstawą naszego szczęścia, jak i powodem nowój dla nas niedoli!“

Podczas téj dziecinnój narady, dał się z ulicy okropny gwar słyszeć; donośny młody głos z płaczem wołał: „Ja nie jestem księciem Oskarem! Zlitujcie się nad moją młodością! Mnie do kłamstwa przymusili. Jestem Albin Frimont, Księcia towarzyszem nauk i zabawy!“

Oskar i Różyczka wyjrzeni oknem. Co za widok przerażający! Albina i stryja jego okutych w kajdany prowadził oddział żołnierzy. Za nimi niesiono dwie

belki z wiszącymi u nich łańcuchami. Gwałtem ciągniono więźniów, niezważając na gorące prośby Albina. Gburowate żołnierstwo urągało im, mówiąc: „Ho! ho! mój Książę! Dosyć długo używałeś dobrego u nas; dzielże i nasze nieszczęście... Jak z nim źle, to kawaler niechce już być Księciem, tylko jego towarzyszem.“

„Aj! doskonały z niego towarzysz Księcia, chyba jego kozieł ofiarny, jakto bywa; właśnie stósowna dla ciebie rola, brałeś za niego plagi, umiéraj téż za niego!“ śmiejąc się szyderczo mówił drugi.

„Ale ja rzeczywiście nie jestem księciem Oskarem“, zapewniał Albin z najokropniejszą w sercu trwogą, i stryj jego mówił: „Jak Bóg litościwy w niebie, tak on nie jest Księciem, lecz brata mego synem.“

„Uważaj chłopczyku“, rzekł inny żołnierz, „kto raz skłamię, temu już nie wierzą choć prawdę potem mówi. Doskonale przysłowie. A jeśli prawda, że nie jesteś księciem Oskarem, toście nas okłamali; słuszną więc kara, jak na oszustów, was czeka.“

Gdy dzieci struchlałe tym mowom się przysłuchiwały, wszedł hrabia Kontarra.

„Już po wszelkiej nadziei!“ rzekł z boleścią. „Właśnie prowadzą mniemanego Księcia na wyłom, na pierwszy ogień. Jeżeli on zabitym zostanie: biada miastu! biada nam! biada wam biedne dzieci!“

Zaiskrzyły się oczy Oskara, niezwykłym, dziwnym, nadprzyrodzonym ogniem na ten wykrzyk rozpaczy Hrabiego. „Nie!“ zawołał podnosząc dumnie głowę, „milczenie w téj chwili byłoby grzechem. Niewinny nie powinien za mnie cierpieć! Ani ty, mój dobroczyńco, ani ten biedny Albin, tyle już razy za mnie karany. Ja jestem księciem Oskarem! Panie Hrabio, daj znać

o tém Królowi. Jeżeli chce méj śmierci, niech i tak będzie, ja na wszystko jestem przygotowany.“

Hrabia i Hrabina osłupieli na te słowa; sądzili zrazu, że Oskar rozum stracił, albo w gorączce gada. Lecz gdy ciągle to samo powtarzał, a Różycka mu przywtarzała, przytaczając w pośpiechu główniejsze wypadki ucieczki z rodzinnego kraju; na dowód tego, co mówili, Hrabia zawołał wzruszony: „O! cud by to był Boży, gdyby w istocie jeszcze czas był tyle klęsk odwrócić! Lecz nie ociągajmy się!“ Porwał się, zabierając z sobą Oskara i wyszedł z domu.

Tymczasem Albin i stryj jego przybyli na miejsce przeznaczenia. Był to wyłom muru pociskami armat sprawiony. Tuż nad fossą, pod samém miastem będącą, przepelnioną gruzami, urządzono z belek rodzaj szubienicy; poprzywięzywano do nich nieszczęśliwych jeńców dosyć wysoko, aby nieprzyjaciel z dała ich widzieć mógł. Więcej do trupa, niż do żywego podobien, z śmiertelną bladością twarzy wisiał Albin; łzami zalane oczy to wznosił ku niebu z wyrazem błagalnym, to zatapiał w nieprzyjacielskie namioty. Nikogo niestety nie miał, coby mu słowo pociechy w okropném jego położeniu przyniósł! Złorzeczenia tylko na niego ciskano. Czy ich nie zasłużył? W podobném usposobieniu stryj jego, sprawca jego nieszczęść, się znajdował. Jak złoczyńca jaki wisiał z głową na piersi spuszczoną i milczał. Umierający wzrok niekiedy zatrzymywał na młodocianą ofiarę swój dumy. O! wtedy dreszcz go śmiertelny przejmował; boleść, nie do opisanania wielka, oblicze jego zmieniała; głos żalu, głos jeszcze niezupełnie skażonych jego uczuć, odzywał się w nim; i mimo woli usta tłumaczyły jego posepne myśli: „O jakżebym spokojnie umierał, gdybym jego nie miał na sumieniu! Ach! ja myślałem tém oszukań-

stwem szczęście dla niego zapewnić. O! ja szalony, zapomniałem, że środki niegodziwe nieuświęcają celu!”

Albin przenikliwym wzrokiem ujrzał zsuwającą się z nieprzyjacielskich okopów chmurę czarną, do szarańczy zastępu podobną. Zatrzymana na równinie, rozwinęła się w niezliczone szeregi wojowników. Jedni z nich opatrzeni wiązkami chróstu, inni drabinami postępowali naprzód; aż wreszcie, zbliżywszy się pod mury fortecy, wydali okrzyk boju i szturm przypuścili. Takim samym okrzykiem odpowiedziano za nieszczęsnymi ofiarami fałszu. Już lont zapalony przytykają do morderczych dział otworów, zewsząd słychać trzask ręcznej broni, brzęk haków, szczęk oręża. W kotłach woda wrzy, smoła skwarczy. Kobiety gotują się ręką odważną zrzucać na oblegających kamienie, by im głowy roztrzaskać; śmierć, straszliwą śmierć, widzi każdy gotową, jak się zamierza przerażającą swą kosą, jednym zamachem, tysiące ludzi życia pozbawiać!

Wzdrygnął się Albin; oczy przymknął; lecz niepojętą siłą trwogi przymuszony, otwiera je.

Ponure milczenie opanowało na chwilę wszystkich; stanęli jak mur szturmujący. I za Albinem grobowa cisza. Po mału, po słówku, przytłumione wykrzyki podziwu dają się tu i ówdzie słyszeć. Przyjacieli i nieprzyjacieli, każdy wskazuje na główną wieżę fortecy. Tam powiewa biała, jak szata Anioła chorągiew, zwiastunka pokoju. Z tém samém godłem poddania się przechodzi oficer wyłom do ciekawością zdjętego wroga.

„Przynosisz wreszcie wiadomość poddania się bezwarunkowego?” woła do oficera naczelnik.

„Przynoszę wiadomość, że jesteśmy w posiadaniu zakładu honorowego pokoju. Prawdziwy książę Oskar odkryty, jest w naszym ręku. Zameldujcie to swemu

Królowi, aby wszelkie nieprzyjacielskie kroki wstrzymane zostały.“

Wzgardliwie wzdrygnął dowódzca ramionami. „Prózne wykręty“, rzekł. „Chcecie na czasie zyskać, posiłków oczekujecie. Nic z tego nie będzie. Dwie wam tylko godziny do namysłu daję. A wtedy bezwarunkowo poddacie się, albo szturm przypuszczę.“ Z tą upodlającą odpowiedzią wraca parlamentarz. Relacya jego sprawiła powszechną bezwładność w twierdzy; lecz wkrótce determinacya rozpaczy górę wzięła. Przedsięwzięto bronić się aż do ostatniego, a nowy Książę miał dzielić los swego poprzednika. Lecz wniosek rozważniejszych i spokojniejszych osób zwyciężył. Nim godzina upłynęła, ukazało się na wyłomie mnóstwo biało ubranych dzieci, na czele ich szedł Oskar i Różyczka, w rękę trzymały białe chorągwie. Przechodząc zaś około na śmierć skazanych, Oskar zawołał:

„Nabierz odwagi, kochany Albinie! Ocaleń tobie i twemu stryjowi życie.“

Był to głos z nieba zstępujący dla nieszczęśliwego Albina. „Ach, Oskarze!“ z płaczem zawołał Albin, „ciężko przeciw tobie zawiniłem. Daruj mi moją winę, przebacz, i uwolnij mnie.“

Skłonił Oskar przyjaźnie głowę i zniknął w fossie. Gdy dzieci przeszły na stronę nieprzyjaciela, niechciał on nic z takim dziecinnym poselstwem mieć do czynienia; chciał je natychmiast do fortecy odesłać.

„Przypatrz mi się uważnie“, rzekł Oskar do dowódcy, z dumą go oczyma mierząc. „Niepoznajesz mnie? Jestem synem twego Króla, Następca tronu, książę Oskar, i rozkazuję ci, abyś mnie niezwłocznie do Ojca mego kazał zaprowadzić.“

Zdumiony tą niespodzianą odezwą Generał, niewiedział, co ma czynić. Wtém przybliżył się ten sam

Pułkownik, którego sobie zapewne mój miły czytelnik przypomina jeszcze z napadu na zamek księcia Oskara; rzucił wzrok badawczy na Księcia i wykrzyknął: „O nieba! księżę Oskar!“

„A ja Księżniczka!“ dodała Różyczka, robiąc ukłon.

Trzymając ją za rękę Oskar i mając ze sobą liczny orszak, udał się do namiotu swego Ojca, będącego najbliższej pierwszych okopów.

Rozdział dziewiąty.

P o z n a n i e .

Wyprzedziła już Oskara do obozu wieść o przybyciu jego. Wszystko było w największym poruszeniu. Byłóżto fałszem, czy prawdą? W piersi Króla walczyła radość z bojaźnią. Nim coś pewnego postanowił, już Oskar rzucił się w jego objęcia. Milczenie trwało dużą chwilę. Ojciec i syn oddawali się rozkoszy uściskania się wzajemnego, po długiém i tak bolesném niewidzeniu się, nareszcie Oskar zawołał: „Przebac, Ojcze! przebac Albinowi i stryjowi jego, panu Frimont! Przebaczenia dla hrabiego Kontarry i jego małżonki. Ach! błagam cię, błagam przebaczenia dla miasta!“

Król, trzymając jeszcze syna w swych objęciach, pilnie mu się wpatrywał, a potem rzekł: „Jesteście też prawdziwie Oskarem, niejestto nowe oszukaństwo?“

„Ja jestem twym synem!“ zawołał wesoło Oskar; „a oto Różyczka, z którą się nie myślę już rozłączać.“

„Różyczka?“ zapytał pełen zadziwienia Monarcha.
„Nieinaczéj, prawdziwie to ona! Skąd ona się wzięła?“

„Ach, to długa i ciekawa historia!“ odpowiedział Oskar. „Lecz, nim ją ci opowiem, upłynie powtórnie godzina, a biedne miasto w perzynę obróconém zostanie. Co prędzej, Ojczy! każ wojsku miecz schować do pochwy.“

„Jakto, a jak ja niebęde chciał!“ rzekł Król. „Tyś mi zwrócony, nieprzyjaciel w méj mocy; on zasłużył, abym go za ciebie skarał.“

„Nie Ojczy!“ odpowiedział Oskar. „Tego czynić niepowinieneś. Ja przyrzekłem Albinowi i jego wujowi, hrabiemu Kontarra, Królowi nieprzyjacielskiemu, że włos im z głowy niespadnie; słowa mego dotrzymać muszę. Mój Ojciec, powiedziałem im, jest dobry. Z radości ujrzenia mnie zawrze pokój bez wszelkich dalszych wymagań. Na to moje zaręczenie wypuszczono mnie.“

„Zawczesne dawałeś obietnice“, odrzekł Król. „Jak mógłś przyrzekać cokolwiek, niebędac pewnym, czy ja twe zdanie dzielić będę? Gdybym przez ciebie podanych warunków niedotrzymał?“

Oskar zbladł i zamyślił się; lecz wkrótce rzekł: „To wróce do obleżonych, każę się obok Albina postawić, wtedy każ strzelać Ojczy!“

„Szaleńcze!“ uśmiechnąwszy się Król, odpowiedział: „cóż zrobisz, jeśli cię od siebie nie puszcze?“

„To żyć przestanę!“ zawołał z gniewem Oskar. Wydarł w mgnieniu oka oficerowi najbliższemu stojącemu szpadę i do piersi ją swój przyłożył.

„Stój, stój!“ krzyknął wystraszony Król, „wydrzyjcie mu tę broń!“

„Cofaj się!“ krzyknął Oskar do zbliżającego się. „Niech mię nikt dotknąć się nie waży, bo się przebije

natychmiast! Ojcze! nie masz dla mnie miłości, kiedy słowa danego, słowa Książęcia, niepozwołasz mi dotrzymać? Pogardzam życiem, hańbą okrytém.“

„Synu, synu mój ukochany!“ odrzekł Król zmiękczony. „Doświadczałem cię i poznałem, żeś ty a nie kto inny mym synem! Jakże szczęśliwy się czuję, że w tobie godnego spadkobiercę mój władzy widzę. Jesteś najpiękniejszą perłą mego państwa i więcej stokróć warcien, jak zabrane prowincye. Uściskaj mnie, mój synu!“

Z błogiém uczuciem szczęścia rzucił się Oskar Królowi w objęcia. Po chwili obrócił się Oskar do orszaku Króla, mówiąc z godnością: „Moi Panowie, doowiedzieliście się, że pokój nastąpi. Udzielcie téj wiadomości natychmiast wojsku i oblężonemu miastu.“

Generałowie się jeszcze ociągali i na Króla niepewni spoglądali. Ten z uśmiechem wyrzekł: „Takiego dziecka wolę, raz jeden można wypełnić. Czyńcie, jako rozkazał.“

„Jeszcze jedno!“ zawołał Oskar. „Niech tu Albin Frimont, jego stryj, hrabia i hrabina Kontarra przybędą.“

„Obadwaj Frimontowie?“ pytał Król zachmurzony; „co ci oszuści mają tu robić?“

„Albin przymuszony został dla mego ratunku moje przyjąć imię i rolę“, odpowiedział Oskar. „A że ja za długo odgrywałem, to wina jego stryja; ten już gorzko za to odpokutował, tym wierniejszym będzie twym sługą. Albin zaś tyle razy był za mnie karany, że krótkie jego wyniesienie darować mu należy. Pozwól Ojcze, aby odtąd w rzeczy samój był moim towarzyszem i przyjacielem. A Różyczka —“

„Tak, Różyczka“, przerwał mu Król; „chodź tu, lube

dziecię! muszę cię uściskać! Bliżej mię obchodzisz, niż myślisz.“

Król szczerze ją uściskał i rzekł komuś z orszaku coś do ucha; ten natychmiast się oddalił.

Tymczasem Oskar opowiadał dziwne swe przygody. Jeszcze nie skończył, gdy Albin i jego stryj, hrabia i hrabina Kontarra przybyli. Piérwsi zblizali się z pochylonemi czołami. Szambelan, czując głęboki żal za swój postępek niecny, prawdziwie skruszony wspa- niałomyślnością Króla, rzucił mu się do nóg. Albin niedługo zapomniał w towarzystwie Oskara i Różycki doznanej swój śmiertelnój trwogi. Z żywém uczuciem wdzięczności i serdecznemi dzięki zblizył się Król do hrabiostwa, dobroczyńców jego syna. Oboje musieli przyrzec, że często odwiedzać będą Oskara, którego niejako za syna uważali.

Wtém zatrzymała się karetą sześciokonna przed namiotem.

„Gdzież on jest? gdzie mój syn?“ dał się sły- szeć głos kobiecy. Lecz nim lokaje zdołali spuścić stopnie i drzwiczki otworzyć i Królową wysadzić, już Oskar wybiegł do niój.

„Matko! Matko moja!“ wołał. „Oto tu jestem!“ Wsparta na ramieniu jego, aż słabość ze zbytnej ra- dości pochodząca opanowała Monarchinię. Na krótkiém przejściu z pojazdu do namiotu kilka razy przycisnęła syna do swego serca. „Tu już nie ma wątpliwości“, mówiła, czy ty jesteś prawdziwym Oskarem. Jak mo- głam cię choć na chwilkę zapomnieć!“

Po piérwszój chwili uniesienia, Królowa rzekła do syna: „Ja kogoś jeszcze z sobą przywiozłam, który cię zna.“

„Kogo? gdzie?“ ciekawie pytał Oskar. Wystąpiła naprzód mamka jego, która już dłużej niemogła z ra- dości wytrzymać.

„Ach, patrzcie, kochana Małgorzata!“ rzekł Książę ucieszony. „Jakże jestem szczęśliwy, że wszystkich, których kocham, razem oglądam! moi kochani i dawni przyjaciele i znajomi!“

Małgorzata zaniemiała z uciechy, całowała tylko ciągle rękę Księcia. Nakoniec odezwała się: „Najjaśniejsza Królowo! tu niepotrzebuje użyć środka rozpoznania? To przecież jest nasz cały Oskar. Ale dla zabawy, i aby Cię, Najjaśniejsza Pani przekonać, jak pewny i niemylny jest ten sposób — — pozwałasz Najjaśniejsza Pani?“

„Dobrze, dobrze!“ przyzwalając, rzekła Królowa.

Małgorzata wejrzała na Oskara, mówiąc: „Uważaj Książę!“ — zaczęła nucić:

„Gwiazdka zesła i pyta mnie skrycie:“

„O ja jeszcze tój piosnki niezapomniałem!“

„Cóż to jest za nieposłuszne dziecię?“

„Zżyma się, płacze, usypiać niechce!“

zawołał Oskar, i dwa ostatnie wiersze wesoło dopowiedział.

„Niepowiedziałam?“ z pewną zarozumiałością o swoim rozumie rzekła Małgorzata.

Uwaga wszystkich nagle zwróconą została na przystojnego męszczyznę, który się spiesznie do Króla udawał.

Król mu dał znak milczenia, przywołał Różyczkę i rzekł do niej: „Luba dziecino! na ciebie teraz kolój przyszła. Znasz ty tego Pana tu, hrabiego Orbin? Jest on twoim ojcem!“

Różyczka spojrzała ciekawie na Hrabiego, a po chwili namysłu, klasnąwszy w rączki, rzekła: „Ja zawsze myślałam, że Czosnek nie jest moim ojcem. Gdyby ten Pan nazywał się hrabia Głóg, byłabym najpewniejszą, że jest Różyczki ojcem.“

Śmieszna ta odpowiedź pobudziła wszystkich do śmiechu. Lecz w tej samej chwili, w której hrabia Orbin córeczkę swą chciał uściskać, dwoje innych ramion już tę miłą dziecinę objęło.

„Dziecię moje, córko moja! Adelo! Adelo!“ wołała osoba jeszcze młoda i piękna; byłato siostra Króla, hrabina Orbin. Z uniesieniem, prawie z szaleństwem ścisłała i całowała małą dziewczynkę.

Porywano sobie Różyczkę z rąk do rąk.

„Ach!“ zawołała Różyczka, „teraz sobie przypominam, że mojem prawdziwem imieniem jest Adela, a Różyczką przezwiał mnie Czosnek.“

„Bracie! próżneż zawsze będą me proźby?“ — — rzekła błagalnym tonem hrabina Orbin do Króla.

„Nie! nie!“ odrzekł Król. „Dzisiaj wszystko przebaczam i zapominam. Wiem teraz z doświadczenia, co to jest — dziecię utracić. Nie rozłączę już was z córeczką waszą.“

„O!“ zawołał Oskar, „takim sposobem wszyscy razem będziemy, bo ja Różyczki od siebie niepuszczę.“

„Nie inaczej!“ mówił Król. „To dziecina taka rozsądna i miła, że tylko w jej towarzystwie ty korzystać możesz.“

Zapłonila się dziewczynka na tę pochwałę, a rumieniec skromności ukryła na łonie swój matki.

Przybyły jeszcze dwie osoby. Byli to dwaj Ochmi-strzowie, którzy w niełaskę popadli u Króla. Przybyli usprawiedliwić się ze swego postępowania; lecz Oskar nie pozwolił na to, mówiąc: „Moi Panowie! Mielście wiele cierpliwości i względów dla mnie. Odtąd będę poslušniejszy i pilniejszy. W ostrój szkole długi czas przebywałem. Była ona dla mnie potrzebna, poprawiłem się w niej. Wasze postępowanie usprawiedliwione, niemogliście inaczej postąpić.“

„Bóg to wie!” odpowiedzieli z uszanowaniem. — „Ogrodowy Czosnek wszystkiemu winien.“

„Tak, prawda, Czosnek, to był odważny człowiek“, zawołali wszyscy. „Jego jeszcze tu między nami nie ma. Plan jego był mądrze obmyślany. Gdzie on też być może?“

„Tu!“ zawołał głosem grubym żołnierz na warcie stojący.

Obéjrzeni się wszyscy z zadziwieniem.

Żołnierz broń zaprezentował, trzy wymierzone kroki naprzód zrobił i donośnym rzekł głosem: „Zna na każdymu jest rzecz, że czosnek ma wierzchnią łupinę. Pozwól, Najjaśniejszy Panie, że ją ze siebie zdéjmę; a wtenczas poznasz, że tym samym ogrodnikiem Czosnkiem jestem, o którym tu mowa była.“

„Czy podobna?“ zawołał zdziwiony Król.

Żołnierz zdjął swój kołpak, odstawił karabin, odjął przyprawną brodę, i ukazał się w prawdziwej postaci ogrodnika Czosnka. A jego wierne i szczere oblicze każdy z przyjemnością oglądał.

„Czosnku! jakim sposobem tyś się tu dostał?“ rzekł Król.

„Racz mnie wysłuchać, Najjaśniejszy Panie“, rzekł Czosnek. „Gdym uciekając z Księciem i Różyczką w boru podejrzanę usłyszał głosy, poszedłem na zwiady. Lecz wróciwszy na miejsce, gdzie przykazałem na siebie dzieciom czekać, o mało z rozpacz nie zwaryowałem, ich tam nie zastawszy. Tygodnie całe trwały moje poszukiwania; niezmordowany byłem; lecz daremnie przebiegłem kawał kraju. Nie wiedziałem, co mam z rozpacz zrobić; chciałem sobie życie odebrać. Bo jakże się tu komu bez Księcia pokazać? Przyszła mi myśl, aby lepiej życie dla mnie już nieznośne przynajmniej w obronie mego kraju poświęcić, i tym spo-

sobem choć w części mój błąd naprawić. Poszedłem do wojska, lecz czułem się strasznie nieszczęśliwy; śmierć tylu innych zabierała, mnie za karę od katuszy sumienia uwolnić nie chciała. Lecz Bóg Dobry pozwolił mi się dnia dzisiejszego doczekać, i oto cała moja historia.“ Ostatnie słowa na pół już łzami biédnego Czosnka zagłuszone były.

„Wierna dusza!“ rzekł Król. „Zdém, radzę ci, resztę maski, kochany Czosnku! zamień karabin na nóż ogrodowy, bo od dziś robię cię dyrektorem moich ogrodów.“

Skłonił się do nóg Króla ogrodowy, mówiąc: „Bogu dzięki! że tak szczęśliwie wszystko się skończyło.“

„Ach to prawda, Bogu niech będą dzięki!“ zawołali wszyscy przytomni, między którymi i Matka Albina się znajdowała i swego ukochanego syna w objęciach swych trzymała. Na wieść bowiem jego niebezpieczeństwa, w którym był, pospieszyła mu na ratunek.

Zagrzmiały armaty i dzwonów poważny odgłos daleko się rozległ.

Wszyscy bez wyjątku łyzy radości ronili.

„Pokój, złoty pokój wam zwiastuje!“ rzekł łagodnym głosem wzruszony Król, prawicę swą z błogosławieństwem na głowę syna położywszy.



Próżność ukarana.

Drama w jednym akcie.

Protonotarius

Protonotarius

Próżność ukarana.

Drama w jednym akcie.

OSOBY.

Pan Myszkowski.

Pani Myszkowska, żona jego.

Adaś, syn ich.

Pan Stanisław, } przyjaciele pana Myszkowskiego.

Pan Kazimiérz, }

Macioś, mały wieśniak w wieku Adasia.

Ogrodowy.

*Scena odbywa się raz w salonie, to na tarasie ogrodowym,
to w pobliskim boru.*

Scena I.

Pan i pani Myszkowscy.

Pan Myszkowski.

Coż nasz Adaś znowu przechadza się z książką. Może więcej w nim próżności, niż chęci do nauki; zawsze zajęty czytaniem; — to nienaturalne na wiek jego.

Pani Myszkowska.

Skąd ci téż przyszła ta myśl, mój mężu?

Pan Myszkowski.

Albo nie uważasz, jak ukradkiem spogląda, czy kto na niego nie patrzy?

Pani Myszkowska.

Jednak professorowie dają mu piękne zaświadczenia; wszyscy mu na jego wiek przyznają wiele zdolności.

Pan Myszkowski.

To prawda. Lecz jeżeli się nie mylę, małe wiadomości, które nabył, próżność w nim wzbudziły; wołałbym sto razy, iżby mniej umiał, a żeby był skromny.

Pani Myszkowska.

Jakto, mężu, mniej, a może nic? — to być by nie mogło.

Pan Myszkowski.

Tak, moja droga! Człowiek bez wielkich nauk, lecz uczciwy, skromny, pracowity, jest członkiem towarzystwa daleko godniejszym szacunku, niż uczony, któremu nauki głowę zawróciły i serce dumą nadęły.

Pani Myszkowska.

Nie sędę, aby Adaś już się w tym stanie znajdował.

Pan Myszkowski.

A niechże Bóg broni, aby tak być już miało! Tu mam więcej czasu, będę go śledził; przedsięwzięłem korzystać z piérwszój lepszój sposobności, abym się przekonał o rzeczywiścieści. Idzie on tu właśnie, zostaw mnie z nim.

(Pani Myszkowska odchodzi.)

Scena II.

Pan Myszkowski i Adaś.

Adaś *(do Maciosia, którego odpycha)*.

Ruszaj sobie. — *(Do Ojca)*: Tatko, mój Tatko! ten głupi chłopiek zawsze mi w czytaniu przeszkadza.

Pan Myszkowski.

Dla czego przezywasz go głupim, on uczciwy chłopiec.

Adaś.

Bo on nic nie umie.

Pan Myszkowski.

Tego, czegoś ty się nauczył, on nie umie, to prawda; ale on znowu wiele wie, o czém ty niesłyszałeś jeszcze; moglibyście się nawzajem od siebie uczyć.

Adaś.

O! on może się wiele odemnie nauczyć; ale cóż ja od niego?

Pan Myszkowski.

Jeśli masz kiedyś Panem włości zostać, czy są-

dzisz, że niepotrzebujesz zawczasu mieć wyobrażenia o pracach gospodarczych, nauczyć się rozróżniać drzewa, rośliny; wiedzieć o czasie siewu i zbioru; wnikać w cuda przyrodzenia? Macioś to wszystko już zna, chętnie się z tobą swými wiadomościami podzieli. One ci się kiedyś bardzo przydadzą. Te zaś, którebyś ty jemu udzielił, do niczegoby mu nie posłużyły. Widzisz więc, że ty tylko korzystać możesz.

Adaś.

Ale mój Tatko, jakby to śmiesznie było, żebym ja się czego od wieśniaka miał uczyć.

Pan Myszkowski.

Czemu nie? Jeśli on jest w stanie cię w czém oświecić? Znam tylko jedną różnicę między ludźmi, to jest różnicę talentów i uczciwości; a musisz przyznać, że w niczém jeszcze nie celujesz.

Adaś.

Ani w uczciwości, toć tego uczyć się niepotrzebowałem, będąc urodzony w wyższym stanie.

Pan Myszkowski.

Ona zasada się na wypełnianiu powinności we wszystkich stanach. On wypełnia je względem ciebie, okazując ci przywiązanie i powolność. Czy i ty wypełniasz je względem niego? Nie! bo nie jesteś dla niego uprzejmym i wyrozumiałym. A on zdaje się na to wszystko zasługiwać. Jest czynny, pojętny, ma charakter dobry, serce szlachetne i dowcip. Mógłbyś się czuć bardzo szczęśliwy, że masz takiego towarzysza milego; bawiąc się z nim, wiele zyskasz. Matka jego Ojca, wychowała mnie. Ojciec jego był zawsze do mnie bardzo przywiązany. Pewny jestem, że i Macioś

równie cię kocha. Patrz, jak tam na ciebie czeka. Staraj się być dla niego dobrym. Może więcej honoru i rzetelności w jego chacie, niż w wielu pałacach. Jego rodzina od niepamiętnych czasów rolę naszą uprawia; cieszyłbym się, żeby ten stósunek wieki przetrwał.

(Wychodzi.)

Scena III.

Adaś (sam).

Tak, piękny mi stósunek! Tatka pewno ze mnie żartuje. Ten chłop miałby mnie czego nauczyć? Oho! ja mu tak moją nauką zaimponuję, że nie będzie śmiał ani jednego słowa ze mną mówić.

Scena IV.

Adaś, Macioś.

Macioś.

Paniczku, przyjmij odemnie te polne kwiatki.

Adaś.

Fuj, polne kwiaty! co mi po nich, ani piękne, ani pachną. To ani róże, ani tulipany.

Macioś.

Prawdać, to są tylko polne kwiaty; a jednak są cudne; myślałem, że panicz choć im się przypatrzy, a może niektórych nie zna, tom chciał paniczowi powiedzieć, jak się nazywają.

Adaś.

Ba i bardzo mnie téż to zajmować może, jak się trawa nazywa! Możesz je tam odnieść, skąd je wzięłeś.

Macioś.

Ano, gdybym to był wiedział, nie byłbym ich tak starannie zrywał. Niechciałem wczoraj z niczém do panicza z pola wrócić; choć było późno i jeść mi się chciało, zatrzymałem się na łące i przy świetle księżycy je zrywałem.

Adaś.

Gadasz o księżycu; a wiesz ty, jaki on wielki?

Macioś.

To i cóż, jak sér.

Adaś.

O głowo do pozłoty, o głupcze jakiś! (*Macioś wytrzeszcza na Adasia oczy i milczy. Adaś przechadza się przed nim, po chwili pokazuje mu książkę.*) Patrz, to Telemak. Czytałeś go?

Macioś.

To nie stoi w naszym katechizmie, a od proboszcza téż o tém nic nie słyszałem.

Adaś.

Tak, to wierzę; bo téż to nie jest książka dla chłopów.

Macioś.

Jakże panicz chce, żeby ja ją znał? Pokaż mi ją panicz.

Adaś.

Nie waż się ruszyć téj książki twémi brzydkimi łapami, (*bierze Maciosia za jedną rękę.*) Skądeś to wziął te wołowe rękawice?

Macioś.

Z przeproszeniem panicza, to moje własne ręce.

Adaś.

Skórę taką masz twardą, żeby ją można na podszwy krajać.

Macioś.

Toć to nie z nygusostwa. Umie panicz prześlicznie gadać, jabym się jednak z nim nie mijał. Pilnie pracować, szanować bliźnich, to umiem; i tak prawdę mówiąc, tobym i paniczowi radził się nauczyć. Kłaniam się paniczowi.

Scena V.

Adaś (*sam*).

Bodajnie ten osieł drwił ze mnie. Ach! wszyscy na taras wychodzą. Muszę zacząć czytać. (*Siada, bardzo pilnie wpatruje się w książkę.*)

Scena VI.

Państwo Myszkowscy, pan Stanisław, pan Kazimiérz. Adaś (*na boku na ławeczce siedzi*).

Pan Myszkowski.

Jaki piękny wieczór! wnijdźmy na to wzgórze; stamtąd podziwiać możemy cudowny zachód słońca.

Pan Stanisław.

Właśnie to chciałem zaproponować; widok to zachwycający, i niebo tak czyste, ani jednej na niém chmurki.

Pan Kazimiérz.

Żal mi słowika. Co za śpiew mistrzowski! co za głos uroczy!

Pani Myszkowska.

W zachwycenie wprawia! Ten śpiew, ta cisza w naturze, to światło zachodzącego słońca, wszystko to serce me nieopisaném szczęściem napawa.

Pan Stanisław.

Niepojmuję tych, co mogą tego szczęścia doznawać, a niechcą. Jakże można dobrowolnie w tak pięknej porze w mieście mieszkać!

Pan Myszkowski.

Adasiu, chodź z nami na wzgórze; przypatrz się wspaniałemu zachodowi słońca.

Adaś.

Nie pójdę Tatko, jeśli pozwolisz. Ja tu coś bardzo ładnego czytam.

Pan Myszkowski.

Jeśli prawdę mówisz, to dobrze. Jeśli nie prawdę to cię żałuję. Panowie spieszymy, bo nie wiedzieć nie będziemy.

(Wszyscy idą ku wzgórzcu.)

Scena VII.

Adaś, *(patrząc za oddalającymi się).*

Och! teraz nie potrzebuje już się przymuszać. *(Chowa książkę do kieszeni.)* Co też ci panowie o mojej pilności powiedzą? Chciałbym być ptakiem, latać nad nimi i chwytac pochwały, któremi mnie obsypują. *(Przechadza się chwilę i ziewa.)* Nudzę się jednak tak sam. Słońce zaszło. Schowam się do lasu, niech mnie szukają. Mama wyśle służących z pochodniami. Cały

wieczór tylko o mnie mówić będą. Będą mnie porównywać z wielkimi filozofami, którzy nieraz zabłądzili, zatopiwszy się w uczonych dumaniach. Moja awanturka się rozniesie! Ach to ślicznie będzie. Uchódźmy.

(Ucieka do lasu.)

Scena VIII.

Państwo Myszkowscy, pan Stanisław,
pan Kazimiérz.

Pan Stanisław.

Jeszcze nigdy tak wspaniale zachodzącego słońca niewidziałem.

Pan Myszkowski.

Podwójnej stąd doznaję przyjemności, podzieliwszy się nią z wami, moi drodzy przyjaciele!

Pan Kazimiérz.

Słowik jeszcze śpiewa. Głos jego przy zmierzchu tchnie rozkoszą i czułością. Żałuję, że pani Myszkowska nie słucha go już z takim zajęciem.

Pani Myszkowska.

Bo nie widzę mego syna, lękam się o niego. *(Wołą go)* Adasiu, Adasiu! Nie odpowiada. *(Spostrzega ogrodowego i woła go.)* Ogrodowy, widziałeś mego syna?

Ogrodowy.

Tak, W. Pani, nie dawno szedł ku borowi.

Pani Myszkowska.

Ku borowi? ach, a jak on się w nim zabłąka? Mój przyjacielu, biegnij za nim, sprowadź go tu.

Ogrodowy.

Dobrze W. Pani, idę.

(Odchodzi.)

Pani Myszowska.

Mężu, nie pójdiesz z nim?

Pan Myszowski.

Nie, ja się o niego nie boję. Ogrodowy go poszuka.

Pani Myszowska.

Ale jeśli on w inną poszedł stronę! drzę cała!

Pan Kazimiérz.

Uspokój się Pani. Stanisław i ja, pójdziemy każdy w inną stronę; ogrodowy środkiem; nie podobna, abyśmy go chybili.

Pani Myszowska.

Ach! tak jestem stroskana, że panowie darujecie, iż ich o to prosić będę.

Pan Myszowski.

Zostańcie proszę. Po co się macie trudzić? Jak pójdziecie, zrobicie mi przykrość.

Pan Stanisław.

Przecież nam za złe wziąć nie możesz, że wypełnić chcemy życzenia pani.

Pan Myszowski.

Nie mogę wam tego bronić, lecz robicie mi na przekorę.

Pan Kazimiérz.

Jak wrócimy, to nas wylaj.

(Idą w stronę boru.)

Scena IX.

Państwo Myszkowscy.

Pani Myszkowska.

Jakto, moje serce? skąd ci taka oziębłość dla twego syna?

Pan Myszkowski.

Czy sądzisz, że go mniej kocham niż ty? Ale ja go kocham rozsądnie.

Pani Myszkowska.

A gdyby się téż już nie znalazł?

Pan Myszkowski.

Nie lękam się tego.

Pani Myszkowska.

Jakże on taką wilgotną noc sam jeden w lesie przepędzi? Coby się z nim stało? cobym ja robiła?

Pan Myszkowski.

Uleczeni bylibyście oboje; on, z swój próżności; ty z twój ślepej miłości, która ją żywi.

Pani Myszkowska.

Co ty gadasz?

Pan Myszkowski.

Przekonałem się zupełnie o tém, czego się tylko dziś domyślałem. Ten chłopiec ma pełną głowę próżności. Całe jego czytanie jest udawaniem. On umyślnie się zabłąkał, żeby go szukać; chce za tak wielkiego uczonego uchodzić, że niby w myślach nie wie, dokąd idzie. Ten szal jego tyle mię martwi, iż życzyłbym, żeby w rzeczy samój się zabłąkał; możeby się, przez różne przypadki, któreby przechodzić musiał, z téj

manii uleczył. Tak, będzie całe życie nieszczęśliwy i drugich może nieszczęśliwymi uczynić.

Pani Myszkowska.

Lecz zważ, mój mężu . . .

Pan Myszkowski.

Wszystko rozważyłem. Ma lat prawie 12; jeśli potrafi użyć swęj intelligencyi, zorientuje się i znajdzie drogę do domu.

Pani Myszkowska.

Lecz jeśli na tę myśl nie wpadnie.

Pan Myszkowski.

Tém lepiej korzystać będzie z nauk, które mu w tym względzie dawałem. Zresztą, zawodem jego ma być wojskowość; w tym rzemiośle nie jedną trzeba noc pod gołym niebem przepędzić. Nie będzie więc nowicyuszem, gdy wstąpi do wojska; nie będą się towarzysze z niego naśmiewać, jak z tych, którzy się lada wietrzyku lub szmeru boją. W jednej nocy nie umrze z głodu; zimno nie jest, to się nie przeziębi. A ponieważ, przez głupstwo swoje narobił sobie ambarasu, niechże z niego się sam wydostanie, albo niech dozna wszystkich z niego goryczy.

Pani Myszkowska.

Nie, na to nie pozwolę, sama pójdę go szukać, jeśli ludzi po niego nie pošlesz.

Pan Myszkowski.

Dla twojéj spokojności pošlę małego Macieja; szkoda, że mi psujesz szyki mego planu. Janek téż pójdzie; nie wymagaj nic więcéj odemnie; nie chcę przez ślepą słabość moją pozbawić mego syna koniecznego lekarstwa. Panowie wracają z ogrodowym.

Pani Myszkowska.
O Boże! widzę to, nieznalezli go!

Pan Myszkowski.
Cieszę się z tego.

Scena X.

Państwo Myszkowscy, pan Stanisław,
pan Kazimiérz.

Pan Stanisław (*do pani Myszkowskiéj*).

Nasze poszukiwania były daremne; jeśli mąż pani pozwoli nam zabrać ludzi i światło?

Pan Myszkowski.

Nie, moi drodzy, usłuchaliście prózb mojej żony, teraz ja do was prozbę zanoszę, abyście spokojnie z nami zostali. Jestem ojcem; wiem, co mój obowiązek mi nakazuje. Wnijdźmy do salonu, wyjaśnię wam, co myślę.

Scena XI (*w lesie*).

Adaś (*sam*).

Cóżem uczynił, o ja nieszczęśliwy! Już noc; nie-wiem, w którą obrócić się stronę! . . . (*krzyczy*) Tatko! mój Tatko! Nikt nie odpowiada. Jakże ze mnie biédny chłopiec! Co się téż ze mną stanie! (*placze, potém woła*) Mamo! Mamo! gdzie jesteś? . . . odpowiesz mi! . . . Okropny mnie strach w tym ciemnym, głuchym boru. . . . O Boże! ktoś łamie gałęzie! . . . O! jeśli to wilk! . . . co ja pocznę? . . . Ratujcie! . . . Znowu cicho, to pewnie tylko ptak jaki przeleciał . . .

Ach! jaki mnie strach... o jaki ja nierozsądny; wo-
lałbym, żeby nikt o mnie nie mówił, że jestem uczone, mą-
dry... oj mądry!... kiedyś takie głupstwo zrobił!
Znowu coś biegnie! na Boga co to jest? to już nie-
zawodnie jaki zwierzę. Ratujcie! ratujcie! ratujcie!...

Scena XII.

Adaś, Macioś *(przybiegając)*.

Macioś.

Kto tam? Kto tak krzyczy?... Co! to panicz!
Jakim sposobem się tu panicz dostał?

Adaś.

O mój kochany Maciosiu! mój drogi, złoty Macio-
siu! mój przyjacielu, zabłąkałem się, wyprowadź mnie
stąd!

Macioś. *(Patrzy na niego z zadziwieniem,
potém parsknąwszy ze śmiechu.)*

Oj, co to panicz gada? ja, panicza Macioś, przy-
jaciela złotego? Pewnikiem panicz się omylił; toć ja prze-
cie ten brzydki chłop tylko; zapomniał to panicz? Puść
panicz moją rękę, ady z niej tylko podeszwy krajać
można!

Adaś.

Ach, daruj mi, mój drogi Maciosiu, że cię obra-
ziłem! miej litość nademną, zaprowadź mnie do pałacu.
Mama ci to sownie wynagrodzi.

Macioś *(mierząc go oczyma od góry do dołu)*.

Już to panicz przeczytał tego tam, jak to się nazy-
wa, Tlemaka?

Adaś (zmięszany).

Ach!

Macios (przykłada rękę do nosa, palcem wskazuje na księżyc).

Powiedz mi, mój uczony paniczku, jaki też może być teraz wielgi miesiąc?

Adaś.

Ach, proszę cię, nie dręcz mnie i wyprowadź mnie lepiej z tego boru.

Macios.

Widzi panicz, że i brzydki chłop na coś się przydać może. Cobyś za to dał, żebyś znał teraz drogę do pałacu, zamiast wiedzieć jaki wielgi księżyc.

Adaś.

Poznaję to, byłem dla ciebie niesprawiedliwy; od-tąd nie będę się z nauki pysznił, przyrzekam to święcie.

Macios.

To doskonale, to mi się podoba. Ale ten żal z po-trzeby to nie bardzo trwały. Nie źle to, że się pa-niczkowi taki wydarzył przypadek, poczuje pan też, co to jest chłopka za psa uważać. Ale żeby panicz wiedział, że dobry chłopiek nie jest zawzięty, zostanę z paniczem całą noc. Jutro raniutko odprowadzę do pałacu. Chodź ino panicz, układziemy się oba razem.

Adaś.

O kochany Maciosiu!

Macios, (kładąc się pod drzewem).

Daléj, paniczku, połóż się wygodnie.

Adaś.

A gdzie twoje łóżko?

Macioś.

A wej je! (*uderzając w ziemię ręką.*) Dyć to moje łóżko. Układź się panicz, dosyć ono szerokie na nas obu.

Adaś.

Co? pod gołém niebem mamy spać?

Macioś.

Ej doprawdy, paniczu, to ani król tak dobrze nie ma. Nad głową cudny pawilon, diamentami sadzony; lampa przesłiczna nam przyświeca (*pokazuje na księżyc*). No, i cóż się paniczowi zdaje?

Adaś.

Ach! mój kochany Maciosiu, mnie nie tyle spać, co jeść się chce.

Macioś.

I na to jest rada, mam w kieszeni kilka perek.

Adaś.

Ale surowe.

Macioś.

Upieczemy je; zrób panicz ognia.

Adaś.

A jak? gdzie drzewo?

Macioś, (*śmiejąc się*).

A w książkach nic to tam o tém, nie ma, jak się ogień robi?

Adaś.

Ach Boże! nie, mój Maciosiu.

Macioś.

A widzi panicz, ja pokażę, że umiem więcéj, jak panicz i jego Tlemak. *(Wyciąga z kieszeni krzesiwko, krzemień i hupkę.)*

Macioś *(uderza żelazko o krzemień nad hupką).*

Pink! pink!... a wój ogień; ej zobaczy panicz, jak to wnet się roznieci; *(zbiera suche liście, kładzie koło zatłonej hupki, robi wiatr ręką i dmucha, się nie zapala);* zaraz będzie ogień; *(kładzie wiórki na zatłone liście);* widzi panicz? *(kładzie perki koło ognia, obsypuje ziemią, roztrzasaając ją rękoma.)* To popiół, nie będą się paliły. *(Jak już przykryte ziemią, kładzie na nie zapalone liście, węgle z wiorów, jeszcze dodaje suchych wiorów i dmucha z całej siły.)* Otóż bodaj czy nie lepszy ogień, niż w pałacu. Wnet będą perki upieczone.

Adaś.

O mój Maciosiu, jakże ci za to będę wdzięczny! jakże ci to wynagrodzę?

Macioś.

Nagradzać? za co? czy to nie dosyć nagrody, kiedy się dobrze komu czyni? Ale poczekajno panicz. Teraz się perki pieką, to ja pójdę poszukać siana; tu niedaleko łąka. Panicz się na niém po królewsku prześni.

Scena XIII.

Adaś *(sam).*

O jaki ja głupi! jak ja mógłem tak tym Maciosiem pogardzać? Czémże przy nim jestem? Nie, nikim już pogardzać nie będę! Ani tak pysznym, ani tak próznym nie będę! Ma Tatka słuszność, i ja się czegoś od

wieśniaków nauczyć mogę; co mi się w życiu nieraz przydać może. Uczyć się będę nie dla pozoru, ale gruntownie; skromnością starać się będę pokrywać moją naukę, ale jój użyję na oświecenie tych, których kiedyś mam być panem. *(Podczas tego gdy to mówi, chodzi tu i ówdzie, zbiera wiórki i przyrzuca je do ognia.)*

Scena XIV.

Adaś, Macioś *(ciagnąc dwie wiązki siana).*

Macioś.

Oto spodek, poduszka i pierzyna. Panicz będzie miał całe nowe łóżko i jakie do tego wygodne!

Adaś.

Dziękuję ci, dobry Maciosiu. Chciałbym ci pomódz, ale nie umiem się do tego wziąć.

Macioś.

Ja sam wszystko zrobię. Idź się panicz ugrzać. *(Odwiezuje wiązki, rozciąga jedną połowę na ziemi, drugą zostawia do przykrycia.)* Jest. Teraz będziemy jeść *(wyciąga perkę z pod ognia i maca ją).* Upieczone już, jédz panicz póki gorące, bo lepsze.

Adaś.

A ty, nie będziesz to jadł ze mną?

Macioś.

Nie, bo ich nie ma tak wiele.

Adaś.

Jakto?

Macioś.

Nie, nie ruszę; mnie się jeść nie chce. A potem cieszę się, że panicz jé, dobre są?

Adaś.

Wyborne, mój Maciosiu. (*Chwila milczenia, Adaś jé.*)

Macioś.

Ręczę, że te lepiej smakują, jak na pańskim stole.

Adaś.

To pewno.

Macioś.

No, teraz trzeba nam się położyć. Zmówmy pacierz! (*Modlą się wspólnie. Adaś kładzie się potem na siano; Macioś przykrywa go także sianem, zdéjmuje swoją kamizelę i na wierzch kładzie.*) Noce chłodne, panicz niezwyczajny spać na dworze, to nie zawadzi; a jakby paniczowi było zimno, to rozniecę ogień; postaram się, aby nie zgasł ze wszystkiém. Śpij panicz z Bogiem.

Adaś.

Mój kochany Maciosiu, takiś dla mnie dobry, że mi się płakać chce, zem cię tak obraził.

Macioś.

O co tam, toć to już zapomniałem, kiedy panicz tego żałuje. Jutro jak tylko skowronek zaświérgoce, zabierzemy się do domu. (*Adaś zasypia, Macioś siedzi i poprawia ogień.*)

Scena XV.

Adaś (*jeszcze śpiący, Macioś*).

Macioś (*budzi Adasia*).

Daléj paniczu, dosyć tego spania. Skowronek śpié-

wa, już zaczyna dzień. Czas już iść do domu, boby państwo się troskali, jakby panicza długo na dzień w domu nie było.

Adaś (*przecierając oczy*).

Co? już? już? Dzień dobry ci Maciosiu!

Macioś.

Jak się paniczowi spało?

Adaś (*wstając*).

Doskonale. Oto twoja sukmanka; dziękuję ci tysiąc razy; nie zapomnę twojej dobroci całe życie.

Macioś.

O ja barzej kontent, niż panicz! Teraz pochwalmy Pana Boga; bo kto z Bogiem, Bóg zawsze z nim. (*Modlą się.*) A teraz chodźmy!

(*Odchodzą.*)

Scena XVI. (*w salonie.*)

Państwo Myszkowscy.

Pani Myszkowska.

Jakąż noc przepędziłam! Lękam się jakiego przy-padku; trzeba ludzi rozesłać.

Pan Myszkowski.

Bądź spokojna, moja duszko; sam pójdę. (*Wtém drzwi się otwierają, wchodzi Antos' i Macioś.*) Otóż masz twego syna.

Scena XVII.

Pani Myszkowska (*biegnąc do syna*).

Ach! jesteś nakoniec; myślałam, że cię już nigdy nie ujrzę!

(*Ściska go.*)

Macioś.

Bodajnie czy nie lepszy i uczeńszy, jak wczora, proszę Wielmożnej pani.

Pan Myszkowski.

Czy tylko prawda?

A d a ś.

Tak, ojcze, aż nadto ukarany zostałem za moją pychę, zarozumiałość i próżność. Cobyś temu dał, kochany Tatko, któryby mnie z tych niecnót wyléczył?

Pan Myszkowski.

Dobrą nagrodę i to z całego serca.

A d a ś (*wskazując na Maciosia*).

Otóż temu ją winienes, Tatko! ja mu przyjaźnią nagrodzę, bo ją będzie miał na całe życie.

Pan Myszkowski.

Jeśli tak, ofiaruję mu z mojej strony pensyi rocznej dziesięć talarów, i szczęśliwym będę, jeśli cię uwolnił od nieznośnej wady.

Pani Myszkowska.

A ja drugie tyle mu przeznaczam, że mi syna wrócił.

Macioś.

Jeśli Wielmożni państwo płacą mi za radość swo-

ją, to i ja wywdzięczam się Wielmożnemu państwu za moją; — więc kwita.

Pan Myszkowski.

Nie, mój chłopcze, niemożesz nam odmówić tego daru. A teraz chodźmy na śniadanie. Adaś opowie nam swoje awantury nocne.

A d a ś.

Dobrze, Tatko! i wcale nie myślę się oszczędzać. Wolę się dziś rumienić, żeby nie rumienić się już nigdy.

Pan Myszkowski.

O, mój synu! jakże nas uszczęśliwiasz tém, co mówisz; daj, Boże! korzystną w twym charakterze zmianę.

(Pan Myszkowski podaje ramię Pani Myszkowskiej. Adaś bierze Macjosa za rękę i wychodzą.)



